KWADRYGA 1

CZASOPISMO LITERACKIE

30 GR

TREŚĆ NUMERU PIERWSZEGO (TRZECIEGO): ILJA ERENBURG: CHRONOMETR I SERCE. — LUCJAN SZENWALD: WOJNA CZY POKÓJ—WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI: PRZEWROTY I NAWROTY — JERZY JODŁOWSKI: Z POWODU CZTEROLECIA „WIADOMOŚCI LITERACKICH“ — JAK PAŃSKA BABCIA? (b) — POEZJE: MIECZYSŁAWA BIBROWSKIEGO, STANISŁAWA CIESIELCZUKA, STANISŁAWA RYSZARDA DOBROWOLSKIEGO, STEFANA FLUKOWSKIEGO, MARJI LEWINÓWNY, ZYGMUNTA ŁOTOCKIEGO, ALEKSANDRA MALISZEWSKIEGO, NINY RYDZEWSKIEJ I WŁODZIMIERZA SŁOBODNIKA — PROZĄ: JANA OSTASZEWSKIEGO, CZESŁAWA STRASZEWICZA I WIESŁAWA WERNICA. — PRO DOMO SUA, ODPOWIEDZI REDAKCJI, UWAGI BIBLJOGRAFICZNE, PISMA NADESŁANE, OGŁOSZENIA.

LUTY — WARSZAWA — 1928



ILJA ERENBURG

CHRONOMETR I SERCE[1])

Artykuły, składające się na najbliższy mój tom, powstały w różnych latach i dotyczą różnych tematów. Łączy je jedno natrętne uczucie — przywiązanie do czasu. Śród wielu manjackich nawyczek nadewszystko cenię jedną: co chwila rzucam okiem na wskazówki zegarka. Jest tu powodem specyficzny lęk, mieszkający w poczekalniach stacyj węzłowych i sądowych salach. Mówiąc szczerze — niewiele mnie obchodzą i kubistyczne płótna, i elektryfikacja Zakaukazu, i ruiny Panteonu. Są to jedynie kolejne napomnienia chronometrów.

Żeglarz za pomocą kompasów i map określa miejsce położenia swego mizernego okręciku wśród zalewu nieznanych żywiołów. O, gdybyśmy umieli tak kierować — czasem; gdybyśmy umieli odnaleźć na mapach epok nasze najpatetyczniejsze i najzwyklejsze dni! Tak właśnie wszystkie moje rozmyślania łatwo streścić w jednem najpowszedniejszem pytaniu: „Przepraszam, która godzina“?

Ukazanie się książki „Cierpienia młodego Wertera“ Niemcy uczciły epidemją samobójstw. Pewna niewiasta skoczyła do Ilmu w oczach autora. W Dreźnie po dokładnem przeczytaniu całej powieści powiesił się krawiec. Teraz nie mamy ani takich książek, ani takich krawców. W statystyce samobójstw notujemy albo gorączkę giełdową, albo nudę — ten produkt tak rozpowszechniony, który dzięki postępom cywilizacji przestał być monopolem wybranych snobów.

A jednak nie przestają padać łzy Wertera. Zmiana upodobań nie osłabiła chronicznego kataru. Łzy te nazywane są teraz inaczej. Nazywają je chociażby „ofiarami automobilizmu“, gdy wspaniały motor, który tylko co przejechał dziewczynę, mającą się za chwilę rzucić do Ilmu lub innej rzeczki, nie przerywa dostojnego sapania wśród nudy, wśród wieczornego dnia prostych podmiejskich szos. Nazywają je i charlestonem, gdy, omdlewając w swem „splendid isolation“, zwarjowani fachowcy wystukują ortopedycznemi kończynami takt. Nazywają je także „białym węglem“.

Poetyczne wodospady, przedmiot niedawnych westchnień, dają nam teraz wściekłe światło, dywidendy i tanie chusteczki dla naszych przyjaciółek. Błogosławmy szczodre wodospady! Jednak serca naszych przyjaciółek nie przynoszą ani dywidendy, ani światła, ani chusteczek do nosa. Serca ronią wiecznie te same łzy i budzą w nas zwątpienie w istotność zmiany dat.

Jestem pewien, że i dziś istnieje i Werter i drezdeński krawiec. Brak tylko Wolfganga Goethe. Nasza epoka jeszcze nie znalazła swego wyrazu i to męczy współczesnych, jak utrata pamięci. Ileż przypadkowych przymiotników i jednodniowych objawień! W ciągu jednego dn[illegible] posługują się i ścisłą wiedzą [illegible]ioną geometrją. Wtedy życie [illegible] się w lśniące kancelarje. [illegible]strzenia i z własnem sumieniem, biedni współcześni nie ukrywają dreszczów —„kim jesteśmy i gdzie?“. Tak mruczą nad rozwiązaniem szarady, w której doszukać się wciąż nie mogą jednej sylaby — „be“, „we“, „ge“.

Dawno już błąkam się w poszukiwaniu słów. Bełkot bez związku przekładam nad oszukańcze, dzień trwające formuły. W wierszu Mandelstama stary manjak powtarza bezmyślnie: — „Rosja, Leta, Loreley“, — jednocząc czas i przestrzeń, wizerunek swej epoki, [illegible] jak [illegible]go bursza, [illegible] prawiecznego [illegible] bytu.

Słowo „romantyzm“ jest warunkowem i mylnem jak i inne terminy. Podkreśla ono tylko naszą niewynalazczość. Wybieramy kochanki według starego kalendarza z adresami. Co czynić? — wiek nasz nie wierzy w potęgę dźwięku. W chaosie wycia krzykaczy i syren automobilowych skazani jesteśmy na wegetację niemych.

Możemy przyznać się — Goethe jest. Zajmuje się jednak czemś innem. Czy nie sprzedaje, przypadkiem, „białego węgla“? Nowy „Werter“ nie będzie napisany. Pozostaje nam zadowolić się łzami czułych postaci, o których wspominaliśmy.

Zresztą — jest jedno wyjście. W czasie wojny, gdy ludzie walczyli o patos terytorjów, nagle zrozumiano, że są zmyślone i miłość ich i nienawiść. W wąskich okopach znikały granice. Patrjotyzm przestrzeni zmalał. Lecz pozostało wiele wolnego miejsca, a ponieważ trudno jest żyć poza obrębem namiętności, pojęcie „Ojczyzny“ zastąpiono wkrótce pojęciem „współczesności“. Kochaliśmy ją niemniej „dziwną miłością“, niż nasi poprzednicy swoją ojczyznę. To uczucie też wymagało krwi i przemilczeń. Dawne skarby świata przestrzeni weszły w nowy świat czasu. Właśnie tu szumią ujarzmione wodospady.

Tylko sentymentalne łzy nie znajdują oddźwięku. Prawdopodobnie są rzeczy, niezwiązane ze zdobyczami techniki i z ewolucją idei. Oczywiste. Lecz chociaż bicie zegarka i bicie serca są podobne do siebie — czy nie lepiej jest, jednak, słuchać bicia serca?.

1) Artykuł niniejszy, udzielony naszej redakcji przez znakomitego pisarza — mający stać się wstępem do jego najnowszej książki, która niezadługo się ukaże — porusza tak obecnie aktualne i tak dla nas ważne zagadnienie romantyzmu. Analizę tego zagadnienia zapowiedzieliśmy w pierwszym numerze Kwadrygi i—w miarę możności — obietnicę realizujemy.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

ILJADA

Gdy staniesz przy nas piękna, krwawa i wyniosła,
Cała w epickim wietrze, w heroicznej zbroi,
Trzeba nam będzie ująć w męskie dłonie wiosła
I fale pruć i płynąć na zdobycie Troi.

O, nic nas nie zatrzyma: ani głośny lament
Rozwianowłosych niewiast, ani dom rodzinny,
Gdy ciśniesz nas w wojennych trudów groźny zamęt,
Na głowach błysną hełmy, a na ustach hymny!

I popłyniemy, twarde tarcze trąc o tarcze.
Nad nami będą gwiazdy, w nas — potęga ciemna.
Nie będzie odpoczynku, będą tylko marsze
I z dna naszego życia wyjrzy śmierć bezdenna.



Rumaki odskandują grzmiącym rytmem kopyt
Zagładę wsiom i miastom, zagrzmi krok piechoty.
Łopotem śmierci będzie twych sztandarów łopot!
Na armje runą armje, jak na grzmoty grzmoty!

A potem, gdy zabitych fale Lety chwycą,
Gdy ciała ich rozdziobią sępy — chmurne ptaki —
Jakże niełatwo wtedy będzie nam, Odyssom,
Na morzu krwi zbłąkanym, wracać do Italki...

ŁUCJAN SZENWALD

WOJNA CZY POKÓJ

Artykuł dyskusyjny

Artykuł poniższy naszego kolegi wyraża jego poglądy na szereg żywo nas obchodzących kwestyj. Łączy nas wszystkich ten sam zespół zagadnień, dzieli — i powinno dzielić — indywidualne do[...] ustosunkowanie. Nie chcemy stwarzać obłudnych pozorów wypracowanego zgóry i do ostatecznych konsekwencyj programu, obowiązującego pod rygorami przynależności do „grupy". Tam, gdzie tak jest — niema prawdziwej twórczości. Chcemy, żeby proces fermentowania naszej ideologji przebiegał jawnie na podstawach wzajemnej lojalności i szczerości — żeby mógł być obserwowany przez każdego, kogo obchodzi. Stoimy tem mocniej przy sobie i dlatego, przełamując ustalone w tej mierze [...]wenanse, nie boimy się zarzutu skłócenia zda[...] wewnętrznego rozdarcia.

1. Dwa programowe artykuły Mieczysława Bibrowskiego, widniejące na czołowych szpaltach pierwszego i drugiego numeru „Kwadrygi" („Sztuka wojująca i triumfująca", „Nie przebrzmiały wasze tęsknoty") zawierają mnóstwo punktów charakterystycznych dla współczesnego zdezorjentowanego pokolenia twórców. Przyznaję, że nie bez trudu udało mi się z tych impresyj poetyckich wydobyć pewną ilość mniej lub więcej luźnych myśli, ułożyć zdobyty materjał w jakąś logiczną budowę i przeprowadzić jego krytyczną analizę. Oto wnioski.

2. Stojąc rzekomo na stanowisku współczesnego kulturalnego człowieka, Bibrowski usiłuje dać ocenę dwóch kątów widzenia, ujmujących istotę literatury, jaka w dzisiejszych warunkach powstać powinna, względnie już istnieje i rości sobie pretensje do dalszego trwania. Autor protestuje przeciwko odurzaniu ogłupiałego społeczeństwa „kłębiącą się mgłą o blado niebieskim blasku fałszywego mistycyzmu" i, bezwątpienia, ma rację. „Lecz z drugiej strony — pisze — sądzić, że chwila obecna z jej wspaniałemi akcesorjami rozwoju techniki i odrodzenia fizycznego wypełnić może bez reszty treść życia i sztuki — to znaczy [illegible] nieporozumienie. Chwila obecna to nietylko rozwój techniki i nietylko odrodzenie fizyczne, ale przedewszystkiem żywy człowiek współczesny, rozłamany na dwie walczące ze sobą klasy, człowiek, borykający się o zaspokojenie swoich ludzkich potrzeb i poszanowanie swoich ludzkich praw, a równocześnie dopracowujący się w mozole takiej formy bytowania społecznego, która spotęguje maksymalnie jego możności obronne i zdobywcze względem nieubłaganie wrogiego mu wszechświata. Chwila obecna jest tylko jedną z nakładających się na siebie chwil, których nieskończony szereg, zwany czasem dziejowym, chcemy, musimy wykorzystać dla najczynniejszej pracy nad pogłębieniem własnej świadomości twórczej i nad wzmożeniem potęgi człowieka — pracy i walki, wobec której technika i wydoskonalenie fizyczne to nie akcesorja i nie hałaśliwe zabawki, ale narzędzia i oręże, wcielone akty, celowe, pożyteczne i piękne w swej celowości. Bibrowski pojmuje współczesność w sposób czysto zewnętrzny i widzi radjo i aeroplan, ale nie dostrzega wielkiej bojowej treści, której radjo i aeroplan są tylko przypadkowemi współczynnikami. Sztuka, mająca bezpośredni związek z nagą rzeczywistością chwili, przedstawia mu się jako s ł a w i e n i e tej współczesności, jako kult.

3. Jądrem teorji Bibrowskiego usiłuje być humanitarnie pojęta walka społeczna. Obalić fundamenty społeczeństwa na krzywdzie ludzkiej stanowione — tak zostaje sformułowana ta myśl, której poszczególne pozycje rozrzucone są p a s s i m po szpaltach artykułów, jak słupy z ostrzeżeniem na wyboistej drodze. Jeśli pominąć okoliczność, że Bibrowski nie zdaje sobie sprawy z przyczyn, jakie każą mu sformułować to żądanie, a idzie jedynie za nakazem nawskroś zdrowego instyktu sympatji człowieka do człowieka, to wyłoni się zasadnicza kwestja, jak, według autora, do celu tego należy dążyć, czy i za pośrednictwem jakich czynników cel ten osiągnąć będzie można. Jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy nowe wartości społeczne zdobędzie się bezkierunkowo wyładowaną energją cierpienia — przecież biczownikami zostali tu nazwani ludzie, których przeznaczeniem jest tworzyć, a łączyć ma ich tylko niezmiennie negatywne ustosunkowanie się względem realnych zjawisk świata, względem życia społecznego, (a więc i stanowiącej treść tego życia walki), wyłączne posiadanie przepustek do krainy fantazji, jednem słowem — wyłączność, wyjątkowość, zasadnicza odrębność. Czas już — u kaduka — skończyć z tą piękną legendą, że poeta spadł na ziemię z Marsa. Albo się jest człowiekiem, wierzy się w człowieka, bierze się czynny udział w walce, jaką człowiek toczy, albo też pozornie z człowieczeństwem się zrywa (rzecz powszechnie praktykowana w naszej współczesnej poezji), ucieka się od realnego życia, osłaniając tę haniebną ucieczkę figowym listkiem dostojności, rojąc o rzeczach nieistotnych np. o wartościach wiecznych. Wytwórczość artystyczna pozostanie bezpłodnym i szkodliwym o n a n i z m e m tak długo, dopóki artyści nie zrozumieją, że człowiek musi być i życie musi pędzić naprzód, podczas gdy sztukmistrz jest tylko wypadkową człowieka i sztuka o tyle tylko ma prawo istnieć, o ile w życiu odgrywa pozytywną rolę czynnika krzepiącego i uświadamiającego.

Bibrowski napozór przyznaje sztuce to pozytywne znaczenie, każe jej oddziaływać bezpośrednio także na formy bytowania społecznego, ale jakże naiwnie przedstawia sobie ten proces przekształcania! Wytrąca artyście z rąk wszelką świadomość celu, jaki przyświeca narodzinom dzieła, zwalnia go z wszelkiej odpowiedzialności za czyn artystyczny, czyni go jednolitym złomem substancji irracjonalnej, dzieckiem nierozumnem, bezkrytycznem zwierzęciem. Jeżeli więc twórczość artysty oddziaływuje uspołeczniająco na instynkty ludzkie, to odbywa się to wbrew jego woli, mimo jego wiedzy, mechanicznie, automatycznie. Bibrowski przeciwstawiając się temu, co nazywa racjonalistyczną koncepcją życia, nie zdaje sobie sprawy, że jego własne wnioski prowadzą wprost do a u t o m a t y z m u. Społeczeństwo jest dla niego bigosem złożonym z gniewu, nienawiści, miłości, żądzy, bez jednego okrucha świadomej celowej myśli, bez najprymitywniejszego ładu walki, bez konstrukcji — słowem: społeczeństwo troglodytów, którem rządzą żelazne, przez ślepy los ustanowione prawa.

Nie wierzę, aby można było wypleinić krzywdę ze społeczeństwa, pojąc je mdłą malmazją humanitaryzmu („nie mogę patrzeć na krew"), karmiąc je nawskroś nietwórczym weltschmerzem, który poprzez przedziwnie logiczne wnioskowanie urasta do godności źródła wszelkiego twórczego poczęcia. Wierzę natomiast, że jedna jest tylko droga dla nas, o ile pismo nasze ma stać się organem młodej, zdrowej myśli społecznej: winniśmy dokonać rewizji swego światopoglądu, sprawdzić swe wytyczne ideowe, spojrzeć krytycznie na życie i na siebie, uświadomić sobie, że są rzeczy większe i piękniejsze od s p l e n d i d i s o l a t i o n nieżyciowego romantyzmu.

4. Reasumując wszystko, co powiedziałem, twierdzę, że jedynie twórczą postawą wobec społeczeństwa jest postawa świadomego bojownika klasy pracującej, że tylko na bazie zdecydowanej świadomości klasowej oprzeć się da skuteczne kształtowanie wartości kulturalnych człowieka i budzenie jego możności twórczych w tych wcale nie sprzecznych ze sobą dziedzinach, jakiemi są — wytwórczość techniczna i produkcja artystyczna.

WŁADYSŁAW BIEŃKOW[SKI]

PRZEWROTY I NAWROTY

Uwagi o J. N. Millerze

Wiele warunków złożyć się musiało na to, abyśmy zaczęli odczuwać potrzebę nowego ustosunkowania się do otaczających nas zjawisk, potrzebę odwrócenia naszej woli w kierunku nowych zadań i nowej pracy. Psychika Polaka została zaskoczona gwałtownem przeniesieniem jej w warunki, o które walczyła, których jednak już nie rozumiała. Zmieniło się wszystko co wchodziło w zakres stosunku jednostki do społeczeństwa, stosunku czynnego i świadomego. Dzisiaj pękł już łańcuch, skuwający duszę jednostki z psychiką zbiorowości, z owem znanem nam patologicznem nastawieniem czynnej świadomości.

Jeszcze lat temu kilka mogliśmy zauważyć, że wszystkie twórcze jednostki dałyby się wydedukować z jednej przyczyny, że gdziekolwiek, ale w punkcie stosunku do urojonych form narodowego życia przecinało, się wszystko. Indywidualizm całej naszej twórczości, aż do Kadena wyłącznie, buduje w ścisłym związku z nastawieniem narodu, próbuje w jednostce rozwiązywać to, czego możliwość tkwiła w społeczeństwie, zamykać to w formę artystycznego przeżycia.

Dzisiaj ten moment prysł (przynajmniej powinien prysnąć). Wśród twórców zaznacza się zlekka rozbieżność

WIESŁAW WERNIC

B. S. C.

Brother Smith Company. Samochód szarpnął się i utknął raptownie. — Dziura psiakrrr... — Dziura w równej szosie. Inżynier Kolnicki otworzył ze zgrzytem drzwiczki auta i wskąkł w ciemność. Szofer majstrował, oświetlony migotliwem okiem latarki. Kwadrat światła legł przed motorem. Brother Smith Company. Przedstawiciel wielkiej firmy tkwił we wnętrzu wozu, jaskrawo pokratowany kolorami płaszcza, ściśnięty w sobie, sprasowany niczem figa. Inżynier nerwowo udeptywał piasek.

Jeszcze godzinę temu, na zielonej polanie, obok kopic siana, między dróżką i zagajnikiem, wypluwał gardłowe dźwięki anglosaskiej mowy. Okutą laską kreślił na szarym kurzu ścieżki, plany przyszłych budynków. Godzinę temu, przy ostatnim, gasnącym promieniu słońca, sypał z ręki do ręki wilgotny piach. — Wiesz co to jest? — Jego kolega Ernst wzruszał ramionami, — piasek. — A co będzie za rok, za dwa? — Piasek... — Na to Kolnicki, zdmuchając resztki kurzu z dłoni: — złoto, złoto, każde ziarnko, każdy pyłek! Złoto, pieniądz!..

Już w myślach wykreślał białe bloki fabrycznych budynków. Kominy przetną niebo. Gładka szosa pobiegnie prędko aż do ulic Laska. Wielka pożyczka inwestycyjna. Rozwalić rudery. Nowe domy, nowe gmachy. Szerokie ulice pójdą bielą ścian. Dosyć już dziur w chodnikach. — Człowieku... — krzyczał w cieniach nadchodzącego wieczoru, — czy ty sobie wyobrażasz, czy ty sobie wyobrażasz? —

Noc ich zastała, kiedy dudnili wielkim motorem po żwirze szosy. Czarniejsze od zmroku, goniły słupy telegraficzne. Ciepły wiatr dmuchał bokami. Przed Laskiem rozkopano część szosy. I oto teraz tkwili w piachu, w wielkiem milczeniu, przerywanem niespokojnem warczeniem motoru. Wreszcie i to ustało. Jednocześnie zgasły ostre światła reflektorów. Ciemność nakryła samochód. Z bliskiego lasu szła cisza, trzaskająca uschłemi gałęźmi drzew. Z wnętrza wozu zagadał coś anglosas. Wygramolił się, skrzypiąc butami po szosie, za nim Ernst. Szofer wciąż majstrował, trząsł latarką, chwytał, nawiązywał stalowe ścięgna motoru, klepał naoliwione rurki, dmuchał w błyszczące sześciokąty śrub. We czworo podparli samochód, wóz ruszył powoli, zazgrzytał na twardym gruncie. Kolnicki odsapnął głośno. — Przecież nie będziemy tak pchać w nieskończoność... — A może ruszy? — Znowu przeczekali kilka chwil w milczeniu. Pogrążonem w mroku polem niosło się dalekie, naszczekiwanie psa.

— Jednak chodźmy...—Ernst zaczął coś przekładać amerykaninowi. Ruszyli środkiem szosy. Trzy czarne postacie tkwiące w kurzu drogi. Z początku szurgali ostrożnie nogami, wreszcie wzięli w środek amerykanina, pod pachy... niby łańcuch zabezpieczający nieprzewidziany wypadek. Uszli może trzysta kroków, kiedy w tyle głośnem echem zawyła syrena samochodowa. Jasne oko reflektoru biegło prędko ich śladem. Zmrużyli źrenice. Białe światło lało się długą strugą. Skrzypnęły hamulce, tuż obok. Szczękły drzwiczki.

Cicha strzała błyskawicy rozcięła niebo. Fioletowe światło pobiegło kołem widnokręgu. Głuchy grzmot jął się przetaczać z krańców na krańce pól, powoli, groźnie, przygniatająco. Górował ponad dudnieniem motoru, zamarł gdzieś z głośnym trzaskiem. Na prostokąt płóciennej budy, rozpiętej nad autem spadły ciężkie krople wody. Ale właśnie wtedy wchodzili do mieszkania Ernsta. Samochód trzykrotnie jeszcze ozwał się nerwowym głosem z poza rżniętego w długie deski kwadratu wjazdowej bramy i zamilkł. Drżąca firanka wody zawisła przed oknami. Białe smugi świateł rozdzierały mokry mrok. W korytarzu z szeleszczących płaszczów cicho kapała wilgoć. Dopiero w pokoju, przed jasnym płatem obrusu, zrobiło się jakoś inaczej. Przy dzwoniących o białe koła talerzy, szarych ostrzach nożów, przy wielkich plastrach szynki, czerwonym dywanem ścielącej się na półmiskach, przy suchych grudkach chleba, rozsypanych tu i tam — rozmowa ożywiona. Niby na inne tematy. O deszczu, słońcu i pogodzie. O dalekich morzach i szerokich lądach, kolorowych rasach, prohibicji i drapaczach nieba. Jednocześnie zręczne badanie przeciwnika. Między masłem i chlebem, między szklanką i talerzem, wtrącane ciekawe pytania o sumach, procentach, kapitale. Udane zadowolenie z kapiącej od frazesów odpowiedzi. Wreszcie anglosas poczuł zmęczenie. Głowa mu się z ramienia na ramię przelewała. Usłużny zgrzyt odsuwanych krzeseł. Zaprowadzili go do pokoju, omaścili na wszystkie strony życzeniami dobrej nocy i... zamknęły się biało lakierowane drzwi.

— Dolary poszły spać, — Ernst przekreślił powietrze zygzakiem ręki. Z akompanjamentem sprzątanych szklanek przeszli do gabinetu. Krótki rzut oka na zegarek. Cicho trzasnął mały zamek chrzęszczącej świeżą skórą, żółtej teczki. Szeroki strumień papierów bezszelestnie wypłynął na blat stołu. Znieruchomieli chwilę, potem, jak gdyby w nagłej ale nieprzyjemnej decyzji, poczęli grzebać oburącz w jasnym potoku pomysłów, planów, kosztorysów. Wszystko to przelewało się przez palce, wiotkie, miękkie, niezdecydowane. Dopiero razem ze szmerem ciemnego ołówka, poczęły krzepnąć projekty, nabierać kształtów coraz bardziej prostych i zrozumiałych. Powoli wyrastał jakiś ogrom pracy wielkiej i wspaniałej. W takt metalicznych uderzeń zegara, rozprzestrzeniała się cisza pełnej nocy.

psychiczna, która jest raczej historyczną dezorentacją, niż wielorakością nowych form, i ta właśnie rozbieżność powinna dać nam do myślenia, że trudno dzisiaj w społeczeństwie naszem wyłowić jakąkolwiek świadomość, że każdy twórca jest dziś meteorem zawieszonym między niebem i ziemią, jest drobnoustrojem „niezależnym".

Temi „paradoksami" chcę zacząć uwagi o J. N. Millerze.

Bo trudno, zdanie Millera, jakoby Kaden Bandrowski w Generale Barczu konstatował, że psychika narodu jest bierną, może świadczyć o tem, że Kaden do aktywności jej nie dotarł, nie dotarł tam, gdzie jest tej aktywności możliwość, co znowu nie jest bynajmniej jednoznaczne z biernością.

Argument odwraca się.

„Zarazę w Grenadzie" wywołała potrzeba — przewartościowania wartości i wysunięcia nowych momentów społecznego życia.

Trzeba było coś orzec o naszym stosunku do romantyków, trzeba było poddać analizie nasz stan dzisiejszy. Ale czy nie byłby bardziej przekonywujący argument, że — romantyzm historyczny XIX w. ze swoim stosunkiem do narodowego życia jest dziś niepotrzebny, ba, szkodliwy — od wątpliwych naciągań i spekulacyj na temat potrzeb dzisiejszych, których Miller nie przeanalizował?

Ostatecznie, rezultat osiągnięty powinien przedewszystkiem autora przekonać o trudności nasuwającej się przy próbie zerwania z tradycją, w której tkwimy (!) i o potrzebie odwagi, graniczącej z samozaparciem. Do romantyzmu Miller się nie ustosunkował, bo właśnie tej odwagi mu brakło — brakło siły tkwiącej, kto wie, czy nie w tem, co zwalczał. Pan Tadeusz to jeszcze nie wszystko, a jeśli już przy nim można się załamać, jeśli już przy nim brak argumentu łata się naciąganiem historji, to cóż mówić o reszcie? Dlaczego Pan Tadeusz nie może być naszym wychowawcą? bo jest tam tylko „wieprzowatość życia" i kretynizm, przykłady: Sędzia, Robak i t. d. i t. d., a Jankiel? tu znowu fałsz historyczny. No dobrze, jeśli wobec tego w odniesieniu do pierwszych postaci jest prawda, to powinniśmy ją przyjąć z ucałowaniem rączek — czemś żyć mamy, albo historyczną prawdą, albo niehistoryczną nieprawdą.

Trudno z brawurowego ataku Millera wywnioskować, co mamy w romantyzmie potępić i wyrzucić poza nawias istnienia, a co wziąć za latarnię przy krzewieniu „uniwersalizmu".

Chodzi o „zaktywizowanie psychiki narodowej", o nową postawę twórcy wobec zbiorowości. Można domyślać się, że mowa tu o tem, co głosili Norwid, Brzozowski, Sorel o historyczno-kulturalnej zależności dzieła od środowiska, o społecznem znaczeniu sztuki.

P. Miller jest dyplomatycznie ostrożny, nie mówi o utylitaryzmie sztuki, o przeznaczeniu jej roli rzemiosła (Norwid) — to było by za wyraźne. Stwarza sobie fikcję w postaci „zbiorowości", której przecież nie możemy identyfikować ze społeczeństwem. Jak można, stojąc na stanowisku społecznej wartości sztuki, uważać piramidy egipskie za przejaw zbiorowej myśli, to pozostanie tajemnicą, ukrytą w przepaści związku między indywidualizmem, a millero-uniwersalizmem. Przy ocenie d o r a ź n e j wartości dzieła, jak to wyraźnie wynika z punktu *ad* piramidy, trzeba się liczyć z momentem historycznym, jeśli się oczywiście nie stoi na stanowisku sztuki dla sztuki. Miller pragnie związać w jakiś tajemniczy sposób artystę z ową zbiorowością — związać z nieba płynącem poczuciem potrzeby i obowiązku. Artysta jest powołany, aby zobjektywizował człowieka (na złość Mickiewiczowi), postawił go między zwierzętami, roślinami i kamieniami (napewno dla pokonania indywidualistycznej samotności) i w ten sposób wyznaczył mu właściwe miejsce w przyrodzie (!) O mały figiel nowa forma powrotu do natury, tym razem bardziej decydującego.

Ta sama dążność do uczynienia sztuki społecznie wartościową kładzie Millerowi w usta żądanie bezimienności woru. Tendencja, którą dałoby się wyrazić mniej więcej tak: ponieważ nie możemy zdobyć się na twórczość, któraby bezpośrednio dotykała spraw najistotniejszych i przez fakt swej aktualności była tworem nie jednostki, lecz owe „zbiorowości", przeto można tę sprawę pięknie obejść i zażądać od twórcy, aby poprostu nie pchał się na afisz a wtedy, gdy dzieło tak wykastrowane nie będzie miało cech indywidualnych twórcy — może stanie się faktem społecznym.

Dość tego. Zbiorowość to nie jest przedwieczny i zmurszały monument niepojęty dla nas, któryby dlatego należała cześć. Artyści nie są religijną sektą czcicieli zbiorowości.

Nikt z nas — jak to pięknie powiedział Miller — nie zrzeknie się swoich praw wyborczych na korzyść czującego za miljony Mickiewicza, ale żaden artysta nie wyrzeknie się siebie, musiałby bowiem wyrzec się społeczeństwa. Potrzeba uczynienia sztuki wyrazem społecznego życia w pierwszym rzędzie pchnąć winna do wykazania tych momentów w jego psychice, które w danych warunkach służyć mogą za oparcie i wątek ideologji. Tej pracy Miller nie dokonał, gorzej, mówił tak, jak tylko kompletna dezorjentacja, nie tylko w właściwościach duszy polskiej, ale wogóle w zdobyczach kultury ludzkiej mówić pozwalała. Cofać się poza to, co dziś o prawach rządzących społeczeństwem wiadomo, nie wolno. Forowanie myśli, zrodzonych w niepokalanej naiwności wobec dzisiejszego stanu kultury w Polsce, gdzie każdy łaknie jakiegoś oparcia w nowem co do formy i treści życiu — jest rzeczą karygodną. Przyjęcie zaś, jakiego doznała zaraza, może pouczyć, jak dalekie jest dzisiaj jeszcze choćby mgliste pojęcie istoty życia wolnego i wolnej pracy.

JERZY JODŁOWSKI

Z POWODU CZTEROLECIA „WIADOMOŚCI LITERACKICH"

Żywot Wiadomości Literackich jest w swoim rodzaju wyskokiem natury. Mamy tu bowiem do czynienia z organizmem zaledwie czteroletnim, który zdążył się już całkowicie zestarzeć i który obecnie przechodzi ostre stadjum uwiądu. Nie chcę zaprzeczać Wiadomościom znaczenia w początkowej fazie ich rozwoju, ani ujmować im niewątpliwych zasług. Tylko, że te dobre czasy czteroletniego jubilata dawno już przeszły do legendy, a rozkrzyczane zasługi pokryły się mocno pleśnią czasu — i dziś stoimy wobec pytania naco wogóle i komu potrzebne jest to bezpłciowe piśmidło?

Chorobą najsilniej Wiadomości zżerającą jest s n o b i z m w zastraszających rozmiarach. Przejawia się zaś już choćby w dostosowywaniu poziomu pisma do smaku czytelników. Schlebia się im, jak się może, urządza się konkursy, konkursiki, goni za sensacyjkami literackiemi. Publiczności się to podoba, w nadziei nagród pismo kupuje. Oczywiście interes dobrze pomyślany, trudno zaprzeczyć. Tylko, co to ma wspólnego ze sztuką.

Dalszym, o wiele silniejszym i zasadniczym motywem snobizmu pisma, jest jego stosunek do literatury zagranicznej. W mniemaniu czcigodnego jubilata g r z e c h e m jest nie wiedzieć, co napisała np. Ivette Guilbert czy Roch Grey, lub jak ma na drugie imię bohater Panait Istratiego. Na łamach „najpoważniejszego" polskiego czasopisma literackiego przeprowadza się istne studja nad życiorysami i rodowodami czwartorzędnych pisarzy francuskich czy niemieckich, natomiast o życiu literackiem w Polsce pisze się mniej niż niewiele [1]). Chodzi mi tu o ten rys typowo polskiego „pawiopapugizmu europejskości", co zapatrzywszy się w nowości z marką made in France czy in Germany, nie widzi wartości w literaturze własnej. Tymczasem, choć życie literackie w Polsce rozwija się dosyć miernie, to jeszcze nie jest jednak tak źle, jakby się wydawało patrzącym przez pryzmat Wiadomości. W ich bowiem pojmowaniu zdawać by się mogło, że w Polsce poza grupą Skamandra i p. Koncpacką, niema wogóle literatury. Jest tylko banda grafomanów. O wielu twórcach wartościowych mówi się marginesowo, bez poważnego zasadniczego ustosunkowania się. Wstyd, by o poecie tej miary co Słoński pisać dopiero pod presją opinji. Przypieczętowaniem zaś wszystkiego, jest skandaliczna sprawa artykuliku o ś. p. Daniłowskim, który, jako jedyny wyraz hołdu dla zmarłego twórcy, redakcja Wiadomości Lit. z lekkiem sercem umieściła na ostatniej stronie, obok idjotycznych anegdotek i coraz nudniejszej kroniki tygodniowej Słonimskiego A dzieje się to wtedy, gdy nawet Josephina Baker doznała zaszczytu królowania na szpaltach tego organu. Kiedy modne były krzyżówki zamieszczało się krzyżówki. Dziś jest w modzie murzyńska tancerka, więc wali się o niej sążniste artykuły.

Gorzej jeszcze, jeśli chodzi o jakąś platformę ideową, czy linję programową pisma. Miejsce ideowego, twórczego stosunku do literatury zajęły... anegdoty, podobno literackie, zresztą mocno wątpliwego dowcipu. Cały zaś materjał pisma uwidacznia w pełni brak panujący pod tym względem, sprawiając wrażenie czegoś rozpaczliwie przypadkowego. Dlatego śmieszna pretensjonalność Wiad. Lit. żywiących zdaje się resztki przeświadczenia o swej roli informacyjnej, jest mocno nieuzasadniona. Pismo bezkrwiste, nudne i mdłe raczej zrazić może do literatury.

Niezmiernie charakterystycznym, bo wyraźnie obrazującym samopoczucie Wiadomości, jest ich stosunek do młodych czasopism literackich, które jako groźną, gdyż ideowo nastawioną konkurencję, albo otwarcie się przemilcza, albo całkowicie bagatelizuje. O istnieniu np. Gazety Literackiej, o ile tylko można było, nie wspominało się. Jeszcze mniej uwagi poświęca się Dźwigni. Bojowe wystąpienia innych pism stara się obłożyć w Watę, przygważdżając je poprostu odpowiednio oportunistycznie zredagowanemi wzmiankami. Wogóle zmiana frontu na całej linji-

[1]) Obawiam się, że ten zarzut skierowany w stronę Wiad. Lit. mógłby mi pozyskać sympatje p. Grubińskiego, który, jak Don Kichot na Rozenancie, jeździ na tym koniku. Zastrzegam się przeto kategorycznie przeciw tego rodzaju przymierzu, zaznaczając, że ostatnie wystąpienia p. Grubińskiego w sprawie teatru krakowskiego a zwłaszcza kabotyńskie zarzuty stawiane Wieży Babel, w zupełności dowodzą braku poczucia odpowiedzialności u tego człowieka.

— Dwanaście. — Przez mokre od niedawnego deszczu szyby wbiegał mrok bliskiego ogrodu. Kolnicki otworzył okno. Mała, czarna sylwetka zasłoniła księżyc. — Nietoperz. — Poczęli znowu grzebać w arkuszach. Minuta minutę goniła, sekundy takt czasu odmierzały. Aż nakoniec z szeleszczących skib papieru wyłoniły się gmachy, domy, pałace. Długie kolumny cyfr zlały się w migotliwe światła lamp elektrowni, w asfaltowe jezdnie, parowe młoty, rozpędowe koła, w przeciągłe gwizdy fabrycznych kotłów, w wielkie drabiny ścian najeżone szczeblami okien, w pracę rozmachem grzmiącą i wielki spokój, pośród szumiących lasów, w ciszy wieczoru, po trudzie dnia powszedniego.

Spojrzeli na siebie, podnosząc ociężałe głowy z nad stołu. Za błyszczącemi szybami okien pierzchała noc, goniona szaremi barwami świtu. Oto w tych dalekich, niewidocznych jeszcze promieniach słońca, ciężka zmora wypełzła na pokój, przytłumiła wielki obraz przyszłości. Z martwych szeregów liczb patrzyła zimnym okiem rzeczywistość.

Rosły długie węże procentów, pęczniały wielkie zera, a wreszcie z poza zapisanych arkuszy, wyjrzała nieubłagana twarz obcego bankiera. Ernst opadł na kanapę. — Sprzedajemy się. — Praca polska w złotych więzach dolara. — Kolnicki zerwał się z krzesła. Począł chodzić wzdłuż czterech ścian pokoju. Głuchy odgłos kroków mącił ciszę wstającego dnia. Gdzieś na szosie zaturkotał pierwszy wóz. Inżynier przystanął i, zbliżając pobladłą twarz do oszronionej kulkami rosy ramy okiennej: — więc cóż?... co dalej?... wszystko rzucić, zaniechać, przekreślić? — Na to znowu Ernst, stukając palcem w kolano — sprzedajemy się. —

— Wszystko rzucić... — grzmiał Kolnicki. — Stać będziemy, przed zaśmieconą kałużą miasta, patrzeć będziemy, na tem koniec. Buduje się świat, warczy kołami motorów, a u nas co? Co jest u nas?... Co jest?... Zatęchłe, zakopcone zaścianki, drzemiące w cieniach przeszłości, ciche, zgrzybiałe i milczące. — A wyciągając rękę w kierunku szarzejących za parkanem pól, — Sprzedajemy się? Ktoż nas może kupić? Kto to wszystko kupi?...— kłół palcem dalekie obszary łąk.—Widzisz... — Ernst leniwie podniósł się z kanapy, — wielka rzecz, owies. — Kolnicki przerwał w pół zdania i machnął ręką.

Żółty błysk słońca przebił zielone gałęzie jabłoni. Oto dzień wstawał nad daleką przestrzenią pól. Witały pracę powszednią dalekie dźwięki ostrzonych kos. W stalowych kręgach sierpów padały grube kłosy złotego zboża. — Żniwa się zaczynają — odezwał się pierwszy Ernst, kiedy znowu warczeli autem na łagodnych skrętach szosy. Brother Smith Company. Kratkowany przedstawiciel odjeżdżał. Po kilkunastu dniach miały być zakończone rokowania. Ale już w samem sercu stolicy kraju. Ostatnie podpisy — przy zielonem suknie gabinetów, tymczasem... Tymczasem trzeba było amerykanina opakować, odwieźć na stację, „załadować", zręcznie, delikatnie, wsunąć bilet, potem turkocący gwizdek konduktorski i cichy syk pary w hamulcach wagonów.

Jakieś prostokąty dołów, kwadraty czarnych wyrw, przystrojone zielenizną traw, grodziły szosę z obydwu stron. Kilka sosen sterczało w gorącym blasku nieba. — Widzisz — zaczął Kolnicki, — leży tu sobie odłogiem szmat ziemi, czeka na pracę ludzką... — Na to Ernst — sprzedajemy się. —

Kiedy znaleźli się w domu, znowu począł grzebać w beznadziejnych rachunkach. Kolnicki odmierzał równym krokiem połamane płaty olejnych desek i gwizdał. — Żeby nie te pół, nie te ćwierć, ćwierć ćwierci ułamka... —Więc co?...Nie spłacimy?...—Umrzemy w złotych lejcach, których końce ktoś inny będzie trzymał, daleko za oceanem. — Nieprawda. — Postukując piórem, począł wykreślać wielkie schematy linji. — Patrz tu i patrz tu... masz... Dodaj... odejm, widzisz, o... — Ernst chwiał głową z niedowierzeniem. — A teraz... — To jeszcze mało... — Inżynier zerwał się z krzesła. — Bo trzeba wliczyć w ten rachunek... trzeba wliczyć, że tamci dla dolara, my dla pracy naszej... żeśmy nie pokazali jeszcze ile można, jak można, co można..., trzeba wliczyć drożdże pracy polskiej, które dopiero kisną... Przerwali rozmowę w najciekawszem miejscu, zmęczeni kłótnią, kończąc ją długim szeregiem wyblakłych słów o jutrzejszem otwarciu rolniczej wystawy, zjeździe, urzędnikach wielkich, którzy długim kluczem żórawi zlecą na kostropate bruki Łasku. Że wystawa zapowiada się... „Wogóle" będzie bardzo ładnie.

* * *

W uderzeniach stalowych kielni, w głośnym szmerze tłumu przeciągała się chwila w nieskończoność. Wreszcie niespokojna cisza powiała nad długim szpalerem delegacyj. Wysoki, siwy pan wysiadł z auta. Szeroki prostokąt dalekiej piechoty drgnął. Zielony stok sukna zjeżył się białemi igłami bagnetów. Wtedy, wtedy z gorącą falą krwi wiewającej się do serca, szerokim potokiem lunęła melodja. Zahuczały mosiężne gardła trąb a razem z łomotem bębna gdzieś w tyle miarowo uderzały kielnie. Ernst szarpnął się — niech przestaną. — Kolnicki wstrzymał go łagodnie, wziął pod ramię i ciągnąc do obramowania okna, błyszczącego nazewnątrz gorącem słonecznego lata. — Słyszysz? Czujesz? Kto to kupi? Kto? —

Ernst spojrzał na kolegę, błyszczącego radością na wszystkich punktach twarzy. — Słyszysz? Czujesz? Rozumiesz? —

Powoli radość ta przewijać się poczęła w oczach Ernsta. W takt stalowych uderzeń młotów, razem z tętniącą pracą robotników, biła ku niebu ostra muzyka.

Młodych się ignoruje, starych za to poczyna się wynosić. Oto jeden soczysty i dobitny fakcik. Kiedy w r. 1917 ukazały się Pieśni o sławie Or-ota czasopismo Pro arte et studio, przedwstępna faza Wiadomości, odpowiednio ostro załatwiło się z wymienionym poetą, odmawiając mu wogóle talentu. Proszę teraz przeczytać po 10 latach recenzję Eleutera z II wydania tychże samych Pieśni o Sławie, Wiadomości literackie Nr. 35 (191). Wystarczy. Być może, że temu wszystkiemu nie trzeba się dziwić. Młodzież dojrzała, stała się oficjalną, zrównoważoną literaturą. Następstwa zaś — siwizna pisma i jego charakter ekstraktu filisterstwa.

Nie ratują sytuacji niby to bojowe poczynania w formie walki z Akademją. Jest to wybitna perfidja ze strony Wiadomości, czego niezbicie dowiódł już Lechoń (Kurjer Poranny z dn. 28. X. 1927.) Tę stałą broń antiakademickiego organu do szczytu wydoskonalenia doprowadził p. Słonimski, który w kronice tygodniowej z Nr. 48 (304) zamieścił wynurzenia, niezmiernie ciekawe, właśnie ze względu na zawartą w nich przerażającą porcję perfidji. Jest to rodzaj asekuracji, ubezpieczenia się człowieka, który przeczuwając możliwość pewnych argumentów, z góry z niemi walczy, chcąc zawczasu zapobiec ich wysunięciu. Wszystko razem sprawia jednak wrażenie bohaterstwa i samozaparcia zrodzonego z silnego strachu. Na korzyść p. Słonimskiego trzeba jednak dodać, że strach ten jest uzasadniony. Nieubłagane bowiem życie coraz bardziej, niestety, usuwa grupę Skamandra w cień grupy Wiadomości, Cyrulika i Przeglądu Sportowego. Dlatego też zarzuty niniejsze z całą świadomością skierowane są w stronę tych ostatnich. Jestem ciekaw czy p. Słonimski broniąc swego stanowiska zechce łaskawie odpowiedzieć na niniejszą uwagę. W każdym razie proszę o jedno: o rzeczowe argumenty, któreby dowiodły niezbicie niesłuszności tego wszystkiego, o czem piszę. Wszyscy bowiem wiemy już, że zarówno Wiadomości jak i p. Słonimskiego stać na dowcip, istotnie bezkonkurencyjny, który jest nieraz bronią b. efektowną. Tylko, że wszyscy zdaje się mamy już tego dosyć. Zbyt często bowiem pod narzutem owego błyskotliwego dowcipu kryje się próżnia, ignorancja i niechlujność myślowa. Dowodem tego są recenzje teatralne p. Słonimskiego, symbol rekordowo płytkiego stosunku Wiadomości do zagadnień zasadniczych. Jeśli ktoś ustosunkował się negatywnie do teatru, powinien się raz wreszcie zdecydować na wystąpienie poważne i rzeczowe a nie urządzać bez przerwy farsy w rodzaju „przewartościowywania" Szwackiego dlatego, że wystawia go Teatr Narodowy.

Co ujdzie w razurze Cyrulika Warszawskiego, nie przystoi pismu literackiemu, które pretenduje do miana poważnego organu.

Jedyną racją istnienia Wiadomości Literackich jest wydawnictwo cennego i godnego usilnego poparcia miesięcznika Pologne Litteraire. Żeby zaś już całkowicie oddać co cesarskiego cesarzowi, nie mogę również pominąć milczeniem nielicznych numerów okazowych pisma t. j. poświęcanych wybitniejszym twórcom. Ostatnim ogniwem w ich łańcuchu jest numer Słowackiego, który przypomniał złote czasy Wiadomości. Są to prawdziwe oazy, niestety, jak one rzadkie. Poza niemi rozciąga się beznadziejny obszar pustynny. Nie trzeba żywić iluzyj co do zmiany tego stanu rzeczy. Nie daje po temu podstaw żywy trup, który obmierzł już wszystkim.

P. S. Na zakończenie dodać muszę, iż pragnę, aby głos powyższy był brany pod uwagę jako zdanie bezstronnego konsumenta literatury i jednego z młodszych członków szarej masy czytelników Wiadomości Literackich.

dzieła sztuki? Ot, pisać poprostu, jak się odczuwa poprostu i uczyć tej prostoty patrzenia. Złości bowiem i paczy poczciwego, zdrowego malarzynę ze skłonnościami do realizmu szpetny nowoczesny snobizm, zachwycający się lada kanciatą kreską, a niechętny zdrowym, „prawdziwym" efektom.

A więc w imieniu różnorodności plastycznych przejawów, w imieniu indywidualizmu twórczego, — niespętanego modernistycznym kanonem; staję okoniem systemom głupawych mędrków.

Nie wierzcie zatem także piszącym o logicznej deformacji obrazu, to nieprawda — niema „logicznej deformacji" jest logiczna formacja, nie wierzcie „syntezom płaszczyznowym" — to są blaszane szablony dla nieumiejących i fantazji pozbawionych, nie wierzcie konieczności tworzenia „czystej formy", bo to bezsens — wierzcie tylko swoim oczom — to wystarczy.

Pewien b. redaktor byłego pisma, esteta czuły i bystry mniej więcej tak powiedział razu pewnego w „Kresach" — Wyrafinowany znawca nie potrzebuje rozdygotanych i wrzaskliwych wynurzeń, aby doznać wzruszeń estetycznych — nie trzeba mu szpilki w biodro, albowiem ogromy wrażeń wysnuwa sobie z samej formy pięknej, z cudnego kształtu!".

Jednem słowem, wchodzi na wokandę sprawa czystej sztuki — formy samograjki contra sztuka konsolidacji treści z formą, — sztuka wypowiadania się.

Ma zaiste swoją rację pan redaktor — dajmy mu spokój — jest wyrafinowany i to mu wystarcza, — żywioł go śmieszy, albo może przeraża; — piękna żakowska scena, tylokrotnie widziana na różnych płótnach, kartonach i dyktach, a przedstawiająca sielankę familji udrapowanych nagusów z ptaszkiem w klatce daje mu maximum radości swą barwą linją spokojną, czule — arkadyjską; — srogi Izato Matejko, jędrny Rubens są dzikusami i dla dzikusów tworzyli. — Intensywność piewcy natchnionego, żywiołowość samca (bezwstydne stawianie obok siebie tych wartości nie ubliży, mam nadzieję, ani jednej, ani drugiej), jednem słowem to, co jest wytryskiem ponad zwykłą nudą, — nudzi znawcę; powiada: niekulturalne i basta. Ale jednak rażą nas skoki maluczkie dumnego z siebie głuptaska, który, wymarzywszy sobie śmieszne idee i alegoryjki, wymalowuje je szpetnie i wrzaskliwie. Nic to, — nie jest to przecież atut przeciw naszemu stanowisku: — twory marne marnemi pozostaną, dobre będą dobrem, czy to będzie mięso czy kalafior.

Bo przecież nie trzeba aż proroka aby być mocnym spostrzegaczem i twórcą; zdrowy radosny artysta będzie zawsze intensywny, bo tak mu się widzi życie, ostrożny logizator będzie zawsze „klasyczny" i bojaźliwie spokojny, — i nigdy nie zgodzę się z tem że jego sztuka jest słuszniejsza od sztuki tego pierwszego — jest tylko poprostu mniej żywotna, mniej twórcza. Zatem rzućmy to niejasne i chwiejne wyprowadzenie prostych myśli i, stwierdźmy, niech tam sobie kochani malują, kują i lepią — już oni się obejdą bez naprowadzaczy na drogę należytą, nie uczmy ich czystej formy, nie narzucajmy kanonów. ale każdy z nich niech pokaże co chce i może, a jakoś tam będzie.

FELIKS TOPOLSKI

TO I OWO O PLASTYCE

Wartoby trochę popolemizować. Przyjemność niebywała: — temat poddany punkt po punkcie gnębisz i nicujesz na brzydszą stronę, protestujesz, cieszysz się zakrętasem zjadliwym, wyciągasz rękę do zgody i chowasz ją niespodziewanie do kieszeni — zabawa wyśmienita i zawsze udana; co tylko powie t. zw. „zjadany" — przegra, bo się go ośmieszy, jeżeli nie logiczną repliką, to — wbiciem kapelusza na nos.

W dziedzinie tak wesołej, jak sztuki plastyczne, zdałoby ustawić się wpoprzek trotuaru, którym maszerują teoryjki, ale właśnie teraz, jak na złość wrzask umilkł, pisma plastyczne zrobiły klapę, wszyscy udają, że piszą rzeczowe recenzje („wypisy" z katalogów), a sprawę poglądów na ten „modernizm" uważają za załatwioną — każdy już wie, że trick malarski jest w tonie, że pretekst wszelki równa się kołtuństwu i — koniec. — Oto p. Winkler naprzykład w każdem sprawozdaniu swojem dzieli dzieła sztuki na godne współczesności i na niegodne, opierając swe sądy jedynie na hypotezie, że realizm się przeżył, a deformowanie „logiczne" jest sensem malarstwa i zapał go święty ogarnia na widok każdej źle narysowanej linji.

Inni, solidni już recenzenci zajęli się wyłącznie klasyfikacją i wyszukiwaniem przydziału dla pana artysty. — Każdy malarz musi być pod czyimś wpływem, kogoś naśladować, — wywodzić się z owych, a przyczyniać się do czegoś tam — oto t. zw. linja rozwojowa; jeśli zaś artysta nie mieści się w szeregu i sprawia kłopot klasyfikacyjny, to się go wtyka gdziekolwiek i macha się ręką. Linja rozwojowa jest zasadą rozumną i godną wykreślenia nawet na milimetrowym papierze, ale czyż nie warto wprowadzić w krytyce nauczania publiczności świeżego i bezpośredniego reagowania na

JAK PAŃSKA BABCIA?

Niewątpliwie, stawać na głowie z melancholijną nonszalancją zawodowego cyrkowca (i to nb. w papuzim tużurku), połykać fałszywy ogień, tudzież sztuczne żaby, przechadzając się jednocześnie z całą swobodą na rękach pośród ciżby wniebowziętych gapiów i krzycząc: „a be, a me — hokus pokus filias akra kadabral" — jest mimo wszelkie pozory rzeczą o wiele łatwiejszą, aniżeli, usadowiwszy się przemyślnie na dość wysoko wiszącym balkonie, pluć z niego wprawnie, celnie i z premedytacją na kapelusze nic nie podejrzewających przechodniów.

Pierwsza bowiem czynność wymaga tylko pewnej znajomości najogólniejszych zasad mistyfikowania i dość znacznego zasobu rutyny, do drugiej potrzeba dużej dozy bezczelności prima sorta i zawodowego-megalomaństwa.

Co tam nowego, kochany p. Wat? Dobrotliwy ów i czcigodny W. fiknąwszy i gwizdnąwszy przepisowo, poczyna dla kawału,—a trochę pewnie przez kokieterję — obrzucać nas cukierkami, wołając: A huzia, a cip, cip, sio! (Wiadomości Literackie Nr. 199: „Nim ją reskrypt do życia powoła"). Krzyczy: Kwadryga? Służalczość, bezczelna lizanina, zuchwały epigonizm! Konsekwencja? Rozpaczliwy (zaprawdę) niesmak!

Ochlapane błotem marynarki zawsze zdjąć można, ale jak tam będzie z t. zw. praniem?

Niesmak jest wprawdzie naturalnem następstwem źle przyrządzonej potrawy, ale ten „przedwcześnie dojrzały" (zresztą poważany autor) kwiat coś także o snobizmie i zdeklasowaniu młodego pokolenia twórców. Znakomity jego praszczur, James Watt (jak wiadomo włoch, który omyłkowo pisał się przez dwa t) robił był jakieś eksperymenty z parującym czajnikiem i kuchnią, Aleksander (znakomitszy od Jamesa) pisze przez atawizm epopeję p. t. „Mopsożelazny piecyk", a następnie — już nie z tego chyba względu cykl niemal że sonetów pod podniecającym tytułem: „fruwające kiecki", we wstępie do którego, stojąc na zdecydowanem stanowisku klasowem, oświadcza bezapelacyjnie, że „ustrój społeczny to władztwo idjotów istotnych i kapitalistów". Z dalszego ciągu dowiadujemy się, że p. Wat. nie jest napewno ani bogatym fabrykantem, ani właścicielem wielkich obszarów ziemskich. Końby się uśmiał, goryl, a co dopiero ktoś do niego podobny!

Zostawmy jednak w spokoju epokę „latających kalesonów", „noczników w kratkę" i „sztyletów w lędźwiach". Nie

CZESŁAW STRASZEWICZ

OBŁĄKANI DOBRZE WIDZĄ, OBŁĄKANI MÓWIĄ PRAWDĘ

Jestem na praktyce w Czerwonym Domu, w uzdrowisku dla umysłowo chorych. O ważnych rzeczach chcę z Wami mówić.

W Czerwonym Domu jest kleiście i miękko. Korytarze i zakamarki poobłepiane ciastem, wszystkie na okrągło, głosy i odgłosy lepią się w nich i ciągną jak cukierki. Wszędzie szmaty nasiąkłe oliwą. Ogród jest zwyczajny, tylko bzy w nim pachną niezwyczajnie. Pilnują: chory skacze oczyma po prężnych gałęziach, ja za nim też, mówimy o Szekspirze. Trzymamy się gałęzi, na której gniazdo i trzy różowe, rozcmokane łebki. Depczemy trawę. — Eh panie, żyję pięćset lat, pięćset lat na tej trawie — tu! — warjackie słowa. Patrzę w jego twarz, którą słońce ssie i w wydmuchane z prochu lufy źrenic. Prawda, że stary. Pytam: — zagramy w kręgle? — Zielone cienie idą skosem, ciekną zieloną i brunatną szminką. Stary on, o stary! Tu jest pień kasztana, korą-staruchą obrosły, tu jest człowiek z twarzą jak kasztanowa kora — stary! — jak próchno w kasztanowej dziupli — tu i tam monotonnie czuwają pająki. Stary! Ma pięćset lat. Napewno. Nie szkodzi mi już, że najsprawniej wykrada orzechy i dobrze grywa w kręgle.

Lubię popołudnie, rozmiękłe słodkością i ciszą, rozpłaszczoną wszędzie. W parku. Mruga do mnie doktór: doktorze pamiętam o Don Kiszocie. Don Kiszot to warjat. Ma twarz żłobioną czyjemi śpazurami, chudą, z uczepionemi krzywo guzikami oczu, ma bezwłosą czaszkę, różową, jakby oskalpowaną, na której trzesą się niebieskie żyłki. Wysoko nosi tę swoją głowę. Wyżej jeszcze rękę. Prawa ręka, wsparta na rusztowaniu lewej, sterczy dźwigając ciężar. Piramidę ze stutonnowych, powietrznych bloków. W dzień i w noc. Śmieją się inni warjaci. Podchodzę do niego: opuść tą rękę. — Sprzęgnięta wysiłkiem twarz wciera się w niebo głaskane gałęziami rozhuśtanych drzew. Skrzypią drzewa i don Kiszot: — wali się niebo, podpieram niebo. — Co, co? — Z cienko posiekanym śmiechem pada na żwir przygodny słuchacz w kaftanie. Psiakrew! Odchodzę kilka kroków i patrzę w niebo. Dmie się ogromnym pęcherzem nad ciałem ziemi. Pokostowanem, żaglowem płótnem. Idę. Jest łąka — słońce na trawie wywraca koziołki, mazgają się świerszcze i pszczoły grają na grzebieniach, kładę się, trawą jak grzebieniem czesząc sobie włosy. Chodzi po mnie wiatr, okrągłutki żuczek różkami strzyże, chodzi po ubraniu, po ogromniastych i pustynnych wąwozach i słońce drobnym, ciepłym kroczkiem tam i z powrotem chodzi po mnie. Rozcieram w palcach miętę, cierpki, ostry zapach — leci z wiatrem do parkowych drzew. Lecę oczyma na drzewa. Cyrkowym skokiem na chmury, z szarej na białą, i tam znów piję zapach mięty, zgęszczony lepkiem, miodnem słońcem. A potem wielkie podróże po niebie: proste według linji; okrągłe, z cyrklem; pogmatwane, bezmyślne — najprzyjemniejsze. Mówię sobie poetycznie: niebo tą wielki tłomok rozpęchany bielizną chmur. Albo: niebo to przędza, don Kiszot to trzon, rozczapierzone palce. jak druty — razem otwarty parasol! Ej, don Kiszocie, gdybyś tak ściągnął druty! Byłoby tak: z łopotem, z furkotem, z gwizdem prasowanego powietrza opada niebo — ciężkie, mięsiste fałdy... nisko, niżej... Wstaję, klej mam w ustach i wszystko biega naokoło. Odnajduję don Kiszota. Wygląda jak własny pomnik. — Pomóc ci? Żyłki na różowej czaszce granatowieją, wyskakują jak ryby. Myśli, że z niego kpię. Czy potrafię go zastąpić gdy kiedyś umrze? Wieczorem, do snu, przeczytam Niebośką Komedję.

Chodzę często z doktorem pod rękę po wcale nie szpitalnym gabinecie, na ścianie zasiedziała się pani z chartem, morska bitwa i martwa natura, jest dużo książek i tak jakoś zwyczajnie i dobrze. Palimy papierosy, a potem inna wędrówka: korytarze, i rozmo-

ma na celu wspominanie pewnych rzeczy kiedy analogje nie są na miejscu, albowiem zbyt gwałtownie uwłaczałyby godności jednej ze stron. Chodzi o to, że jeżeli ktoś wysuwa w stosunku do obcego pisma zarzut „bezczelnej lizaniny“ i „zuchwałego epigonizmu poskamandrowego“ właśnie na łamach „Wiadomości Literackich“ to, puszczając się na takie „chwackie“ chwyty, powinien, psiakrew, pamiętać, że na kilka wierszy przedtem mówił o „brawurowym wypadzie Skamandra“, którego owo obce pismo ostro zaatakowało i że kilka lat wcześniej był pomawiany niedwuznacznie i w sposób zgoła niewersalski przez jednego ze swych towarzyszy ideowych o zdradę wspólnej sprawy na rzecz tegoż „Skamandra“.

Ale p. Wat? Uosobienie poczciwości, anielski charakter, kryształowa dusza, tuzin dobrych nowel — genjusz — odpowiedzialne stanowisko i ojcowska troska o byt przyszłej generacji!

Skorzystajmy ze sposobności: wspomina ten Napoleon naszej literatury o ile sobie przypominamy — coś nie coś o kwestji t. zw. akademji. Obchodzi ona nas tak bardzo, jak zeszłoroczny śnieg, jak plantacje kawy p. Johna K. Quickle z Gwadelupy, jak pan, jak pański zły humor, jak pańska babcia i jeden z jej mało sympatycznych wnuków.

A co się tyczy „chłodnych dopisków“ że „fotel mnie nic nie obchodzi“ „bo go i tak pewnie nie dostanę“ — to trzeba pamiętać, że, jakkolwiek prawdziwa szczerość może być cyniczna, to jednak cynizm w czystej swojej postaci niekoniecznie musi być szczerością.

Tak, do stu par djabłów i jednego belzebuba bez zajęcia!

b.

JAN OSTASZEWSKI

CZŁOWIEK

Fragmenty całości.

1.

Chrystus szedł naprzeciw ludzkości.

Na szlaku widniała jego zapomniana postać, jak niegdyś, pod murami Rzymu, na starym Appijskim gościńcu, który chłodziły cyprysy i łuki akwaduktów; jak na emauskiej drodze, przed niewiedzącemi oczyma pielgrzymów.

W twarzy Jezusa targał się ludzki genjusz, jednaki zawsze prometej i prostak-niszczący i stwarzający nanowo skamieniałą, klasyczną doskonałość boga.

Szedł, smukłą sylwetą jaśniejąc, a wieczór roztapiał jej nieuchwytne zarysy.

Zapadł zmierzch. Miękki powiew układał na spoczynek chmury. Rumieniły się gdzieniegdzie, śród białej pościeli obłoków, ich gorące, pucołowate twarze. rozweselone swawolą i śmiechem dziecięcym, nim je ciepły sen uspokoił. Potem wiatr ucichł. Zadrzemnął, jak piastunka u progu sypialni.— Tymczasem szarzały barwy zakopcone zmrokiem. Stawały się mętne, odymione i zatarte. Aż je noc pogodna rozmyła, jawiąc się w pełnych i głębokich kolorach. Idącym ukazała powagę swą i nieruchomość. Przyciszyła kroki. Piersi śpiących wzdęła błogim oddechem. W skupieniu powstrzymała czas. A wszechświat sam się sobą przesycał i napawał, pławiąc się w ciemnych błękitach przejrzystej zadumy.

2.

Chrystus zatapiał się w rzeźwej powszedniości, która jest Gangesem bogów.

Zwolna i z każdą chwilą coraz bardziej przenikała go rozkosz żywego istnienia. Obejmowała go niewysłowioną pieszczotą, przeszywała nawskroś dreszczem gorącym i szła po nim straszliwie jasna, jak ogień, jak on nieposkromiona i paląca. — Osmaliła się w nim do żywego wszystka boskość w olśniewających kraterach bytu.

Zapragnął przemienić ciało promieniste, które wziął od cherubów, na kości, mięśnie i żyły. Chciał chłodno płucami odetchnąć. Na kamienistej drodze stopy pokaleczyć.

Wciąż daremnie usiłował boże ciało przeistoczyć na chleb, mleko, wino i miód. Silił się skruszyć niezłomną, rozwichrzyć na wieki uciszoną doskonałość boskiego ducha i rozjątrzyć mrowiska myśli. — Próżno moc wytężał, by wytrzebić wszystko, cokolwiek było w nim bogiem martwym, zbyć do szczętu, przecielić w dyszące człowieczeństwo.

Krzyżem, żółcią i cierniem chciał się zbawić. — Tragiczna tortura odbóstwienia sroższa była niż męka Golgoty i góry Oliwnej.

— Ale szczery, ludzki ból nie rozdarł go trójzębem cudu, mocą śmiertelną i żywą.

— Znagła pojął, że nie miłość a ślepa konieczność włada nim i między ludzi prowadzi. Nieuchronnem przeznaczeniem bogów jest żądza uczłowieczenia. Gniewni i łaskawi, mściwi i radośni od wieków pragną żyją w ciałach jędrnych, w spoconych czołach, w czerwonej krwi.

Pod imionami Ozyrysa, Buddy, Dionizosa, Saturna i Chrystusa wstępują w lud wybrany na początku wieków. Uczą i pocieszają. Są piękni. Córy ziemi oddają im ponsowe usta, mleczną pierś, piekącą rozkosz łona. Oni kochają namiętnie, gorączkowo. Potem opowiadają długie wzorzyste baśnie. Występują jako poeci lub władcy. Zawsze nad ludzkiem pogłowiem i zawsze uchodzić muszą, wygnani własnem nieczłowieczeństwem. A potem tęsknią bezpamiętnie.

— Pod jarzmem tej prawdy ukorzył się Chrystus. I zapragnął ujrzeć człowieka.

Wysiłkiem tragicznym, potęgą ostateczną, wszechmocą i udręką cudu wpatrzył się w jego postać.

3.

Postać ta napełniała wszechświat globowemi kształtami wiedzy i pracy. Doskonałemi wykresami wzorów geometrji i mechaniki były leniwe obroty, drgania szybkozmienne, ruchy złożone i proste. Obrazami funkcyj matematycznych były powierzchnie i krzywizny tych mas monumentalnych.

Nieograniczoną mnogość brył łamała przemoc niezmienna i więziła je w okowach form koniecznych, w osnowach wymiarów jedynych, w pętach regularnych figur.

— Na ten zbiór członów ogromnych zepchnął bóg lawinę widzenia.

Rozdarły się źrenice Chrystusa.

Rdzeniem mózgu spojrzał.

Teraz dopiero, przeraźliwie, niespodzianie zobaczył Chrystus człowieka.

4.

Stał przed nim, wpleciony w koła i elipsy maszyn, wszczepiony w żelazne szkielety wiązarów, przęseł kratowanie, rozpostarty na płaszczyznach samolotów, przyłbicach motorów, drutach anten, wbity na kominy i maszty, rozpięty na krzyżach, na frontonach świątyń, na czołach pancerników, przeszyty promieniami Roentgena i Hertza, żywem mięsem i mózgiem wrastający w stalowe gnaty mostów i sklepień.

Stał przed nim gorejący jak lawa, krew i ruda w czeluściach palenisk, namiętny i rozjarzony jak kipiel słońc, wyniosły i lodowaty jak eter kosmiczny, nieprzenikniony i czarny w ciemniach optycznych, jasny jak łuk volty.

5.

Chrystus natężył wzrok.

W górze zwartemi łukami zamykała się głowa człowieka, jak wielki generator wszechświata.

W niej wyjarzmiała się energja myśli spływając po miedzianych nerwach kabli.

Na jasnem czole niby na szczycie Panteonu pracy potężna wola ryła wyraziste płaskorzeźby zamierzeń.

— Poza czystemi soczewkami oczu otwierały się wielowymiarowe przestrzenie i continua ducha.

— Barki z litego ciosu dźwigały portale i ramy oporowe, węzłowe zrosty słupów, skrzepione żebrami tężnic, pierzaste rozwidlenia belek i pasów.

— W oślepiającym blasku przesuwały się dźwignie ramion, opuszczały i w[illegible]osiły liny lewarów, obracały się k[illegible]apy rzymskich śrub, wirowały zaciśnięte pięści korbowodów.

— Struny szyn i stalowych płatwi napiężone w tysiącach kierunków, zmierzały zbieżnie i rozbieżnie ku przecięciom, godziły w węzły i sprzęgła, gdzie mnożyły się jak palce jakichś wielkich dłoni, odgałęziały, nagłym uskokiem lub wyciągniętą dłużyzną przeszywały przestrzeń, tryskały na wsze strony promienisto w gwiazdach spojeń, strzelały stowarzyszonemi pękami w rozwarty bezmiar, zmieniając się ze smukłych pionów w pochylone skosy, kładąc się poziomo, wzdłuż i wpoprzek.

— Podczas tych niezliczonych przekształceń i zwrotów wykonywały coraz to inne prace, jako dźwigary, skarpy i pierścienie, sprzęgła, hamownice i łuki, w milczeniu wytrzymując zginanie i rozciąganie, przenosząc opory i obciążenia.

— Pierś człowieczą zasklepiały betonowe bloki, płyty stalowe, ześrubowane tarcze.

— Jak stłumiony huk pracującego w natężeniu serca dobywał się łoskot wybuchów w cylindrycznych komorach motorów.

— Trzewiami i żywotem były wnętrza maszyn trawiących rudę, bawełnę, i wino.

— Huczące warsztaty spoczywały na szerokich biodrach łożysk, opierały się na lędźwiach bloków i statorów.

— Pracujące łono podtrzymywały strzeliste uda żelaznych konstrukcyj wbijających się stopami kesonów i skarp w rdzeń globu.

Na nim płasko rozpościerały się lotniska, fabryki, stocznie, doki, hangary. Błyszczały światła miast i targów.

6.

Ziały paleniska. Wył ogień. Waliły tłoki, łby młotów. Pęczniały kotły. Zegary i manometry ukazywały blade wyraziste twarze, mierząc krwawe perjody wielkich pieców. — Świst kół rozpędowych wśród koncentrycznych promieni potężnego rozmachu. Chrzęst łańcuchów, jazgot trybów, dźwięczące w rurach i zbiornikach strumienie pary. Wspaniały szum obracających się brył metalu. Szept przędzy. Królewski śpiew płynącego żelaza.

— Blaski, kształty i dźwięki stały się jednorodne i przemienne. Stapiając się i dopełniając, wysławiały postać człowieka jak trzy języki, wszystkie jednako rodzime i proste.

7.

Pełen radosnej prostoty człowiek promieniał pięknem jakoby greckiem i mocą męską, pomazany trójpotem wszystkich prac, namaszczony spermą wszystkich rozkoszy.

— Lecz dla syna bożego piękno to było nieodgadłe, a moc nie do pojęcia.

8.

Przez głowę Chrystusa toczyły się myśli ogromne, huczące, bolesne.

Pojął bowiem, że człowiek wyłamawszy się z cienistych ogrójców boga, dojrzewa w pożodze słońc. Że, zapominając o bogu, napełnia się powagą i bohaterstwem. Że w pracy bezpomocnej staje się doskonalszy.

Poznał, że dzieło objawienia było niemądre i chybione, że urosło jako owoc słabości.

Poznał, że Ojciec, umęczony samotnością, wymyślił tragiczne kłamstwo odkupienia, aby zaspokoić odwieczną żądzę powszedniego obcowania z człowiekiem. Że złamał konieczne milczenie boga i przestąpił progi swych utajeń. Nie wszechmoc, ale okrutna samowola skruszyła zakazy najsurowszej etyki boga.

Jehowa nie wyznał nigdy Synowi tej prawdy, która była mu zawsze najgroźniejsza i najbardziej złowroga, że bogu nie wolno opuszczać ukrycia.

— Ileżto razy wypadał bóg ze swej pustelni w straszliwym nierządzie męczarni.

— Ileżto razy zstępował w łoże ziemi.

— Ile razy ponawiał pierworodny grzech objawienia. Aż go oto teraz Syn odkrył w przerażeniu.

I pożałował męki zbawienia. Zapłakał na wspomnienie Golgoty. Wydało mu się bowiem, że Ojciec skrzywdził go.

Lecz słodka pamięć ziemskiego życia uczyniła go winnym. Wiedział, że była to wina większa niż ukryte grzechy Ojca, wina jawna i niewybaczalna-wina, którą tylko człowiek może od, puścić Bogu.

wy z dozorcami, praca. Jest jedna cela, do której chodzę sam, zawsze sam, tak to się jakoś składa. Uczony profesor, historyk, bardzo pokręcony i czarny, w kaftanie bezpieczeństwa, dyszy gdzieś w kącie i maca oczyma jak widłami. — Czego tu? kto tu? — Odpowiadam: — to ja, Ludwik XIV. — Zawsze tak odpowiadam i zawsze jego oczy robią się przypochlebne i słodkie, mówi do mnie po francusku, mogę robić, co chcę. Dzisiaj tak samo. Bawią mię jego miny tajemnicze i wachlarzowate gesty. Gardło ma czemś wypchane, słowa sypią się, jak kawałki szkła, jak rozgotowane kartofle. Tak: cieszę się, sire, żeś dzisiaj u mnie. Wczoraj był świat starożytny: Xerkses i Plinjusz młodszy. Dziś przyjdzie Timur-Lenk. O, moja historja będzie autentyczna! — Słowa są skromne, gesty skromne, a pychę czuć jak spirytus. Biały, kaflowy piec, nie wiem dlaczego, nabrał gorąca, zżółkł i zadygotał w żółtej febrze. Mierzwiło się w kącie, szczypał mię stamtąd nieheblowany głos, aż z okna wlała się do pokoju cisza, jak oliwa, wszystko w niej stanęło, tylko jedno oczekiwanie — nie. Oczekiwanie — widziałem pałeczkę kapelmistrza: zaraz, zaraz, zaraz. Orkiestra gra. Żółty piec pozieleniał, obrósł tłustością na kantach, mech, czy pleśń, czy co? od dołu długie, wąskie tasiemki, prężą się, są jak liście, pachnie tatarak. Pachnie stawem: błoto, rzęsa, żaby i tatarak. A teraz co? Szum, wiatr pewno tarza się po trzcinach, szelest, ktoś rozgarnia szeleszczące łodygi. Oczekiwanie... zaraz, zaraz... ktoś rozgarnia szeleszczące łodygi. Dwie wielkie, mało ludzkie ręce czynią w zielonem wolny trójkąt — pcha się twarz żółta, mongolska. Pachnie surowizną i pachnie mięsem. W kącie dławi się upojeniem i śliną obłąkany pan. Mongoł wpycha w podłogę nogi w końskiej skórze, jak końskie łby, słyszę jak chrzęści podłoga. Jesteśmy: warjat, mongoł i ja. Ja? — nie, nie tak: my, Ludwik XIV, król-słońce. Tak, tak. Idą ciepłe, drobne fale, łaskoczące i gorliwe; mamlają w obrosłych ustach mongoła, ujadają i skrzypią z kąta. Jest nastrój historyczny. Dmę się w sobie i wyparskuję majestat. Rasowo żółta twarz z mokradła, lakierowana czyjąś krwią — rozmawiamy o piramidach z ludzkich głów. Czarne włosy skręcone w łańcuszki, brzuch wielki, aksamit — rozmawiamy o Louvois. Głos z kąta po gospodarsku brzęczy jak pszczoła, lata z kuleczkami miodu tu i tam. Słodko, i słodko i nudno. Rozkosz, gdy wszczepił mi ktoś siekierę w skroń. Mój własny pokój i noc. Do snu czytam Nieboską Komedję. Latają wielkie, ciche, czerwienią opite ptaki.

Najparadniej urządzona jest u nas łaźnia. Biało, nawet klamka u drzwi jest biała, nawet szyba w oknie jest biała, jakby kto rozbił beczkę z wapnem. Przyjemnie jest kręcić krany i kurki, patrzeć jak strzyka para, bulgocze ukrop i chłodno ciurka zimna woda. Przyszedłem, rozbieram się i powiadam: — a teraz zrobimy porządek! To znaczy, że trzeba ułożyć różne dziwne rzeczy. Układam ręczniki i prześcieradła, mydła i gąbki, ale myślę o pięciuset latach, o don Kiszocie, o czarnym profesorze i jednocześnie zawsze o sobie. Wody w wannie jest dość, zielonej i parującej. Wchodzę do wody jedną nogą, potem drugą, jest tak, jakbym naciągał wygrzane pończochy. Dobrze jest czuć gorąco i wiedzieć, że się ma umysł tęgi i odporny. Spryskuję się wodą. O ja mam umysł tęgi i oczy dobre i uszy dobre. Gorąca obrączka obejmuje mię za szyję rozparza po lekarsku lodowatą, żabią krew. Ten, co ma 500 lat, ma taką krew. Don Kiszot to wielki człowiek, o nie, to może nawet bóg. Prysznic powinien mieć 40° — ile sznureczków wody ma ten prysznic? Kocham czarnego profesora, odrazu widać, że nie kłamie nigdy. Oni wszyscy nie kłamią! ja to wiem, oni są wielcy, oni są czyści — krzyczę głośniej: — oni są czyści — dodaję ciszej: — bo ich co tydzień kąpią. Tarzam się w prześcieradłach, chcę by mi się zakręciło w głowie. Ale mam głowę mocną. Kładę się na kaflowej posadzce i liczę nią nie białe tylko czarne kostki. I nic. Skanduję: — obłąkani mówią prawdę. Podnoszę się, staję na krześle, otulam się w prześcieradło, wyglądam jak Perykles, bez żartów:—przyjdźcie wszyscy, którzy mówicie prawdę. Niech przyjdzie ten, który ma rozum ognisty, jak mój. Niech się pochyli ku mnie, a ja mu mokremi ramionami wyklaszczę na szyji największą prawdę. Będziemy czynić cud. Czekam! Wypłóczcie wannę. Będziemy czynić cud.

— Ale zmaza jej mieniła się cichą radością wspomnień.

Bezwiednie rozpamiętywał dni, kiedy z mocy Jehowy cała jego młodzieńcza boskość przetapiała się w gorącem łonie matki na ludzkie niemowlęctwo. Dumał nad latami, gdy nieprzerwanie uczuwał tak upragnioną dla bogów cudowną rozkosz cielesności. Raz jeszcze przeżył nikomu niewiadome misterjum błogiego zespolenia z człowiekiem. Wstrząsały nim echa tej najświętszej niewiedzy, która nie pozwalała mu odróżnić, co w nim boskie jest, a co ludzkie.

9.

Błogosławił zdyszany oddech i sprawne członki, krew czerwoną i ciężar głowy.

Błogosławił trud, wypoczynek i śmiech.

Błogosławił z mocy boga poraz ostatni.

— Rozdarło się serce Chrystusa. Głosem wielkim odwołał obietnice i groźby proroków.

Zniweczył Piekło.

Zburzył Raj.

Wyprzysiągł się Sądu.

Rozpędził zastępy Pana.

W gniewie straszliwym zabił Boga.

— Przeistoczył się.

Zalało go ludzkie szczęście.

MARJA LEWINÓWNA

NÓW

To w nas czaił się cicho, głęboko
Ślepy mus, który słońce wyważył,
Spadało, płynąc jak wyłupione oko
Po nieba szarej z bólu twarzy.
To cień nasz rósł, wyprężył się jak nerw,
Oplątał szczelnie wszystko dookoła,
Patrz: łukowaty księżyc jak ciemnopłowa brew
Nad pustym oczodołem.

BRZYTWA TONĄCYCH

Ssąco-tłoczącej ciemności falami
Tajemnica ogarnia nieogarniona,
Tajemnica runie masą i zadławi,
Tajemnica nas pokona.
Nic, nikt nie ocali, jeśli się urwiemy,
Nie uradzą święci ani prorocy,
Wisimy ranami rozjątrzonemi —
Na ostrzu Twojej mocy.

ZYGMUNT ŁOTOCKI

ŚMIERĆ

Doktór siadał na łóżku, patrzał w oczy wnikliwie i ostro.
Z troską i niepokojem schylała się biała siostra.

W szarym załomie sufitu ukrywał się cień niebieski
Termometr — mówiono szeptem — czterdzieści dwa i trzy kreski.

Nie trzeba, panie doktorze, pisać zawiłej recepty —
Męczą i denerwują wasze stroskane szepty.

Odejdź od łóżka siostro i zabierz flaszeczki z miksturą,
Chcę porozmawiać ze śmiercią, ukrytą w załomie muru.

Dlaczego kryjesz się blada, czy przestraszył cię siwy doktór
Przyjdź do mnie i uspokój dzwoniący w skroniach nokturn

Nieprawda, że jesteś szkieletem, nieprawda, że chodzisz z kosą.
Masz duże niebieskie oczy, pachniesz porankiem i rosą.

Idziesz, wyłaniasz się z cienia, cicha, spokojna jak morze
Bierzesz za rękę. Jak zimno. Jaki ból! Jezu! Ratuj... doktorze!!!

ATAK GAZÓW TRUJĄCYCH.

Na blachach rynien, na dachach, na drutach czujących anten
Czaił się strach wielooki, zanim runął ze świstem na miasto.
Zielonym smrodem uderzył, zdmuchnął wszystkie latarnie i lampy,
Powduszał szyby w głąb mieszkań — bez szczęku, dźwięku, jak ciasto.

Wyły z rozpaczą syreny, wściekłe dzwony waliły na alarm.
W duszących dymów zalewie miasto tonąć zaczęło jak okręt.
Z pustej ulicy w ulicę trujący czad się przewalał,
Wpełzał jak gad na poddasza — do piwnic wciekał przez okna.

Lepkie, cuchnące paluchy zaciskały się znagła na gardłach
Spęczniałe bólem źrenice ktoś okropny rozgryzał, wysysał,
Na dachach, na drutach anten czarną płachtę swą śmierć rozpostarła
I długą kościstą ręką grzebała w martwych ulicach.

Schrypłe syreny i dzwony jak człowiek, co milknie na zawsze
W ostatnim najcichszym jęku targały się jeszcze nim ścichły.
A potem na stropie niebios rozmiotły się ogni najkrwawsze
I czarnym palcem jak węglem ktoś pisał imię — Antychryst.

STEFAN FLUKOWSKI

BEZROBOTNI

W bezcelowości jest początek końca.
Śmiejemy się dwoistym śmiechem pragnień i niemocy.
Mówią: — kradzież jest grzechem.
A my cierpimy głód, nie mogąc ukraść słońca.

Ukryto je za szybą na rozłożystej nieba wystawie,
Bochenek dobroczynny rumiany.
Z konarów drzew zsunięto kratę mocną.
Tych, co cierpieli nagrodzą wieczne raje,
Ale my dziś konamy
I ciała nasze z zimna dygocą.

Jesteśmy tylko mięsem —
Co chce pożreć inne mięso.
Jesteśmy robactwem miasta,
Przekleństwem nad nami trzęsą
Zęby nasze twarde i ostre
Będą pruć domy i wnętrze ich wyjedzą —
Poszarpane mury krew w rynsztoki rynną zcedzą.
Nienawidzimy Boga z jego postem!

My chcemy chleba!
Chcemy go rwać na sztuki,
Na wielkie pajdy pszenne!
Chcemy pożreć bochen słońca!
Niech świat się wali w dół z potęgą nauki!
Przemieniamy materję na siłę
W laboratorjum żołądka —
Na atomy spryska się sumienie,
Gdy promień głodu je spotka.

Bezcelowością było nasze urodzenie
I my płodzimy dzieci w szmatach.
Wloką się konie objedzone zbożem nam wyrwanym
Przy ciężkich dudniących armatach.
Tratują nas włochate kopyta
I samochody pancerne,
Płazują nasze twarze nieobmyte
Księżyców szable mosiężne.

O jakże głodni jesteśmy pracy —
Tłum meteorów w pustce między lśniącemi gwiazdami!
Spadają nasze ciała w ocean historji —
Plujemy w twarz cywilizacji!!!

Nas nikt nie uczył, co to jest ziemia,
Krecich pagórków sypki stożek.
Chodzimy po zimnym asfalcie
I serca nasze nie znają drżenia
Czerwcowych pól, pokrytych młodem zbożem.
Chcemy żarcia.
Ze skręconego żołądka
Bo! się rodzi nienasyty
Nie wiemy, co to trud w upale
Strzępiastych naci marchwi na grządkach
Spękanych i zrytych.

I, pochyleni w bezczynności trudzie
Chwytamy opuchłemi oczami skorupy jaj w kanale
Ku morzu płynące w wylanym z kuchen brudzie
Nie wiemy — co to rzęsa na wielkim krągłym stawie,
Daleki okrzyk gęsi — ostry i próżny.
W glinankach są głębie przepastne
I na nasypu murawie
W słońcu i głodzie zasną
Po wielkim świecie rozsypani za pracą podróżni.

Płodzimy się w majowe noce
Po krzakach, w ukryciu, za miastem —
Aż ziemia cała dygoce
I trawa sponiewierana, darta bólem — wrzaśnie.
Gdzie stalyby wielkie turbiny
Ukrywszy krocie woltów
W kondensatora ścianach — —
Tam słychać płacz z wikliny
Dziecka, sięgającego po czarnem ciele błota
Do białej krągłej piersi zimnego nenufara.

Płodzimy się w majowe noce —
Aż ziemia się trzęsie i parska.
Może z naszych ciał duch się wyszamoce
I ukryty w kości i ścięgnie
Myśl z siebie wyrzuci —
Ta świat i nas obiegnie
I w beton wbije,
Zepnie sztabami stali, znituje,
Niebem jak dachem pokryje —
Aż jedną wielką pracą — skuci
Bochen trzeszczący słońca
W żołądkach poczujemy.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

PIEŚŃ O WOJNIE I POKOJU

Wiatr po drogach z wierzbami się targał,
Wlókł się traktem i deszczem plół —
W takt żołnierskich melodyj szła skarga,
Wiechcie błota bryzgały z pod kół —

Po wybojach toczyły się jaszcze —
Echem w ciszę łoskot się niósł.
Pod dziurawym wytartym płaszczem
Jak pies kąsał nad ranem mróz.

Parły przodem żelazne kompanje
W kurzu, w błocie, w szarudze, we krwi,
I noc oczom ciążyła jak kamień,
I wzrok ciemność rozcinał z pod brwi —

W nieustannych dalekich pochodach
Mierzył przestrzeń zwycięski ich rytm,
Przegl...ali się w rudych zachodach
I w wędrówce witał ich świt.

Wymijały ich słupy wiorstowe
I nie było końca tych dróg,
I nie było gdzie złożyć głowy,
Kiedy bezwład ścinał już z nóg.

Pogarbione chałup zagony,
Pleśnią w ziemię wrośnięte jak grzyb,
Spojrzeniami oczu zielonych
Mętne światła pruszyły z za szyb—

Na biwakach nocnych—bez ognia—
Chłód ich parzył, zagrzewał ich głód,
W oczach pożar się jakiś rozogniał
I ten ogień ich tylko już wiódł —

Księżyc srebrem na ostrzach się palił,
W mgłę powoli wsiąkał i nikł.
Cień zjeżony łuskami stali
Cicho w polu się czaił jak żbik.

Telegrafów korowód jak las stał,
Długie linje sprężonych strun —
A tam w dali krwawiły się miasta
W gęstej posoce łun —

*

W głuchym huku dalekich grzmotów
Trzody ludzkie gnane na rzeź
Suchym trzaskiem salw kulomiotu
Wypisały w ogniu tę pieśń.

Pod sztandarem szła buntownica,
Gardzielami chlustała jak krew.
Teraz nocom pożary podsyca
Z krzywd zapiekłych rozżagwia gniew.

Nienadarmo na polach bitew
Jak ziarno wsiewano nas w grunt!
Dziś jak róża płomieniem wykwita,
Jak burza — nadciąga — bunt.

I lawiną w doliny się zwali
I kometą wystrzeli wzwyż.
Pierś człowieczą jak pancerz ze stali
Zahartuje, zakuje na spiż.

Uskrzydlona, groźnie olbrzymia —
Czołem wsparta o czoło gwiazd —
Tysiąc mieczów w ucisku swym trzyma
Nad tysiącem pobitych miast.

A jej wiew od Pirenej po Urał
Szumem skrzydeł huczy jak dzwon!
Wzrok jej błyskiem wichrzy się
w chmurach,
Krzyk drapieżny spada jak grom!

*

To ciebie sławimy w pieśniach
Potopem wezbranych słów.
To ty każesz do walki wieść nam
Tłum na tępe spojrzenia luf.

Miastom grozisz jak jasny topór,
Czarnym wichrem w ulice dmiesz —
I zawisłaś nad Europą,
Żeby runąć znienacka jak zwierz.

Przewalały się hukiem wieki
I przez wieki grzmiał twardo twój głos
Spartakusom gasiłaś powieki,
Bohaterów rzucałaś na stos!

Dziś, gdy błyśniesz jak lśniąca
Na ulicach powieje tłum, [szpada
I noc świtem rozetniesz bladym —
I zaśpiewa twych skrzydeł szum.

*

Inny motor dziś popchnie ziemię —
Aż po osiach przeleci zgrzyt.
Ludzie z fabryk, z kopalń podziemnych
Podyktują światu swój rytm.

I u maszyn, u młotów murem —
Twardo stanie przy chłopie chłop
Jasne domy dźwigniemy w górę,
Wyciągniemy pod gwiezdny strop.

Niech się piętrzą tysiącem pięter,
Szczytem prują o mleczny szlak.
Siedmiołukiem nad niebem spięte
Na mocnego przymierza znak.

*

Nic, że każdy dzień dziś jest klęską,
Że o bagnet życie się wsparło,
Jeszcze runie jak burza zwycięstwo,
Pęknie powróz dławiący za gardło.

Wtedy miecz twój jaśnisty poezjo
Ponad nami płonący jak płomień
Przyjdą inni ludzie i wezmą
I położą ze czcią w panteonie.

A poecie, co słowa w męce
Rwał i nocą do walki wołał,
Czarne ludzkie robocze ręce
Włożą wieniec laurowy na czoło.

MIECZYSŁAW BIBROWSKI

WSTĘP DO POEMATU „LINDBERGH“

Szłaś w głuchym, groźnym grzmocie miljonowych armij,
Toczyłaś się łoskotem dudniących bateryj;
Czerwony błysk pożarów oczy twoje karmił,
Odblask łun gorejących twarz twą gniewną przerył.

Bluznęłaś ołowianym, ognistym ukropem,
Że czarna zawierucha wzbiła się, wyrosła,
I szłaś powolnym krokiem poprzez Europę,
Milcząca, przeolbrzymia, kamienna, wyniosła.

Purpurowem obliczem zapalałaś niebo,
Przydawałaś jasności chmurom wichrem rwanym —
Z pod chmur się przyglądając ciągnącym pogrzebom,
I czarnym chmarom ptaków, i aeroplanom.

Mocne śmigła — ramiona, tnące atmosferę!
Silniki, stukające przerywanym zgrzytem!
Świst szrapneli w grzechocie rozsypanych pereł!
Ciała, rżnące potokiem w niedojrzałe żyto!

Szłaś, mściwie obłąkana w rozhulane święto,
Szarpałaś, siekłaś, rwałaś — grunt równy i gładki.
Słałaś żałobne listy spłakanym dziewczętom
I strącałaś z balkonów zrozpaczone matki.

Pędziłaś, parłaś, pchałaś pułki do ataku,
Obliczałaś, gdzie furja w rozpędzie się zetrze.
Miotałaś pod prochownie stos płonących pakuł,
Czyhając w naprężeniu — aż buchną w powietrze!

W trajkocie kartaczownic świat gorzał i gorzał,
Ponad armat łomotem wzlatywały głownie.
— Wielkie płaty przestrzeni — od morza do morza —
Zmieniałaś srogą rzeźnię, w surową mordownię.

To twój cień przeolbrzymi przed nami wyrastał!
To tyś szczuła na siebie nieprzejrzane krocie!
To tyś potężną pięścia rozwalała miasta!
Tyś kazała nam zdychać — w kurzu, krwi i błocie!

To twój miecz zimną stalą przebiegł nam po krzyżu
I — puszczony z rozmachem — w trzasku kości — rozciął!
Ale czyn twój okrutny do śmierci nas zbliżył, —
Zaszczepił w nas szacunek i lęk — przed wiecznoscią!

*

I dziś, gdy pęd motorów drży turkotem w kraju
I gdy się wściekłość życia wolą preży czerstwą —
Pragniemy odkryć w sobie to — co pozostaje,
Pragniemy — wielbić wielkośc i czcić — BOHATERSTWO!

NINA RYDZEWSKA

FABRYKA

Fabryka — burżuj spaśny, zasapany, czerwony —
rozkraczyła się, wzrosła w ziemię, twardem, ciężkiem cielskiem,
zakratowanem, żółtem ślepiem patrzy w zadymione,
czarne od sadzy i węgla, zaułki podmiejskie.

Burżuj nie może sypiać — bo targa mu żelazne wnętrzności
miljon bydląt roboczych, zaprzęgniętych w kierat,
kradną mu sen maszyny dudniące, jak ciężkie auta na moście,
a śmierdzący potem i krwią wysiłek, oddech mu zapiera.

Fabryka — burżuj spaśny, obżarty i zasapany
połyka godziny robocze twardych, ludzkich ramion...
jeszcze się kiedyś zachłyśnie potem z krwią zmieszanym,
jeszcze mu kiedyś rytm maszyn stanie w gardle, jak kamień.

Fabryko — cielsko bez duszy, utuczone krzywdą, —
przyjdzie niedługo dzień, że pod nogi nam runiesz,
wyżygasz, to coś nam wzięła, ukradzione nam oddasz,
i zdechniesz, rażona wolnością naszą, jak piorunem.

STANISŁAW CIESIELCZUK

SŁOMA

Tłamsiły ją, z kłosistych głów ziarna jej łuskały
Tryby terkotem szparkim świeży miąższ ciszy żrące.
Na krzywych szponach wideł o trzonku wyślizganym
Wynosił ją chłop rosły i składał w stos pod słońcem.

Dzień pozostawił ranka dzieciństwo za plecami,
Słonecznem zdrowiem tryskał i w ziemi się zadurzył.
Bat ćwiochał, konie kierat ciągnęły wkrąg za ramię,
Młockarnia grała raźnym trajkotem na podwórzu.

A nocą było cicho, spały stodoły bramy,
Drzemały w stajni konie — na niebie był przymrozek.
Zaspany, mąką światła srebrzystą posypany,
Nad własnym cieniem sterczał w bezruchu słomy stożek.

Nagle krzyknęło niebo — świat zbielał i osłupiał
Noc najjaskrawszą blasku rozdarła się pochodnią!
Blasku ciemności zimne, mroku jaśnisty upał —
Blasku ślepota gwiezdna!
Stos słomy stanął w ogniu.

SIECZKARNIA

Zgrzytliwym pilnikim naostrz, parobczaku,
Wyszczerzone zęby żelaznych rzezaków.
Potem naoliwić musisz i nakarmić
Zdrowem smarowidłem organizm sieczkarni.

Na zapolu owies ziarnem ociężały
Chce rozsadzić pęta powróseł omdlałych,
Rozlać się swobodnie po stodolnem wnętrzu.
— Dać tu kilka snopków, co się z brzegu piętrzą!

Sieczkarnia podstawia skrzynkę ci zieloną:
Naręczami owsa napakuj jej łono.
Chwyć za korbę, zakręć — z gardła szerokiego
Źdźbła zbite z kłosami pod noże wybiegą.

Czach, czach! — zakołuje koło rozpędzone.
Czach, czach! — jasne ostrza równo krają słomę,
Drobią sieczkę dobrą
Dla koni na obrok.

Brzmi bez przerwy twardy, chropawy śpiew chrupań,
Rośnie w oczach sieczki stożkowata kupa;
Chmura drobnych skrawków, złotawych przebłysków,
Coraz szerzej siada na czarnem klepisku.

O, tnijcie, rzezaki, suchym deszczem sypcie,
Bądźcie niestępione w wytrwałej ostrości.
Parobczaku krępy — mocniej, sprawniej, szybciej!
Utraf swym wysiłkiem w rytm doskonałości!

ALEKSANDER MALISZEWSKI

OPOWIEŚĆ O PANU FRANCISZKU MAŃKOWSKIM, O DZIECIACH, O BUŁKACH I O MAGICZNYM WYRAZIE „ENTRÉE“

W podmiejskiej dzielnicy, na wąskiej ulicy,
gdzie domy są brudne, zaczepne i złe,
gdzie boscy wysłańcy, anieli-prawnicy,
by wszystkie rozpacze i wszystko zło zliczyć,
zsumować, zestawić, rozdzielić, rozłożyć —
musieli specjalne aż biuro założyć —
był sklepik. Na szyldzie czerwona kukułka,
rogalik — półksiężyc i gwiazda jak bułka,
na drzwiach zaś magiczne „Entrèe“.

Przed oknem witryny pociętej na półki
poważnie przechodzą i noce i dnie,
godziny — wędrowne, swawolne jaskółki
ze skrzydeł czerstwienie strząsają na bułki.
na strucle, na chleby, na ich właściciela,
co między płacących swą sytość rozdziela,
w groszakach zamyka radości i troski
i zwie się poprostu Franciszek Mańkowski
i nie wie, co znaczy „Entrèe“.

Gdy dzień się jak muszla otwierał wesoły
i siadał na domy zaczepne i złe —
to z dziećmi pod rękę szedł ranek do szkoły
z tornistrem na plecach, jak sztubak jak hołysz —
stawali przed sklepem, patrzeli na dziwy,
na pana Franciszka, że bardzo jest siwy,
na bułkę, kukułkę, rogalik prześliczny,
na wyraz nieznany, na wyraz magiczny —
szeptali. — entrèe entre...

Pewnego dnia z trzaskiem drzwi wparły się w sklepik
i uśmiech zakwitnął miast słowa entrèe.
„Ach złote wy moje. Tu będzie wam lepiej —
są ciastka, pierniki i słodycz się lepi".
I cieszył się dziećmi Franciszek Mańkowski
i zwierzał przed dziećmi zmartwienia i troski
i chciałby tak z niemi przesiedzieć dzień cały
bo dzieci skakały, krzyczały, śpiewały
entree entree entree...

Aż wszystkie rachunki raz skończył Franciszek
i wszystkie w różańcu odmówił już dnie —
i w piersiach miał ciszę, i w oczach miał ciszę,
i więcej do sklepu nie zajrzał, nie przyszedł,
gdy dzieciom zaśniły się dziwy o chlebie,
to siwy, zgarbiony pan błądził po niebie,
aż Bóg się uśmiechnął i podszedł doń zbliska
i rzekł dobrotliwie do pana Franciszka:
„wejdź tutaj, mój złoty! Entrez".

PRO DOMO SUA

W dniu 9 listopada r. ub. w lokalu Polskiego Klubu Artystycznego odbył się wieczór poetycki „Kwadrygi" z udziałem autorów Bibrowskiego, Ciesielczuka, Dobrowolskiego, Flukowskiego, Łotockiego, Maliszewskiego, Rydzewskiej, Sebyły, Słobodnika i Zajączkowskiego — oraz recytatorów: pań Mroczkowskiej i Sawczenko, panów: Gołaszewskiego i Ładosza.

Obszerne recenzje pojawiły się: w Kurjerze Porannym z dn. 11 listopada (L. Andrè) w Kurjerze Polskim z dn. 12 listopada (J. F.) i w Epoce z dn. 4 grudnia (I. W. K.). Ostatni artykuł jest raczej szerokiem omówieniem pierwszych dwóch numerów naszego pisma — istoty i celów „Kwadrygi".

W jednym z ostatnich zeszytów francuskiego miesięcznika „Revue Mondial", w artykule o najmłodszej literaturze polskiej znajdujemy ustęp, odnoszący się do naszego pisma i omawiający jego rolę i zadania, oraz cechy odróżniające je od innych polskich czasopism poetyckich.

Nowy polski dwutygodnik literackich p. n. „Głos Literacki" zamieszcza w pierwszym numerze duży artykuł o obecnych dążnościach w literaturze, który charakteryzuje jednocześnie grupę „Kwadrygi" („Aurora quadrigis iam medium traiecerat axem" podp. N. R. Ex. W.)

Pozatem mamy do odnotowania szereg wzmianek w prasie prowincjonalnej oraz parę nieodpowiedzialnych błazeństw jednego z organów pomorskich.

*

W dniu 11 grudnia r. ub. w Łodzi, w sali Rady Miejskiej odbył się recital poetycki „Kwadrygi".

W związku z tem naszem wystąpieniem zanotować należy łajdacką napaść chadeckiego „Kurjera Łódzkiego" z dn. 10. XII. („Samobójczy program — samobójców ducha"), w której mydłki ujmują się za Panem Bogiem, zaznaczając jednocześnie bardzo słusznie, że „psie głosy nie idą pod niebiosy". Kanalje nie cofają się nawet przed plugawą denuncjacją (...„uwadze zaś władz... polecamy pierwszy i drugi numer Kwadrygi warszawskiej"). Oczywiście, spóźniliście się nieco, kołtuny. Tempora wprawdzie i na szczęście mutantur — wyście po dawnemu zostali — matołami.

Szereg pism codziennych zamieścił odezwę — w formie listu do p. ministra sprawiedliwości — protestującą przeciwko rzekomemu bluźnierstwu, popełnionemu przez p. Ninę Rydzewską w wierszu p. t. „Madonna Nędzarzy", drukowanym w Nr. 225 tygodnika „Głos Prawdy".

Autorzy tej odezwy, zredagowanej w tonie plugawej perfidji, uważają za stosowne użyć „jaknajmocniejszych" wyrażeń dla odmalowania czarnej przewiny poetki, którą nazywają poprostu — zbrodniarką.

Rzecz prosta, nie chodzi nam nawet o pozory wszczynania dyskusji w tej tak bardzo jasnej i jednocześnie tak bardzo ciemnej dla każdego uczciwego człowieka sprawie. Pragniemy z całym spokojem i poczuciem odpowiedzialności za wagę wypowiedzianych słów stwierdzić, że inspiratorzy wzmiankowanego listu składają się bądź z ludzi, których poziom intelektualny z epoki stosów i czarownic powinien im — w interesie ogółu — odebrać raz na zawsze prawo do czynnych wystąpień, bądź też z ludzi, którzy w brudnej świadomości rzucanego oszczerstwa nie cofają się przed ściągnięciem w błoto walki o geszeft polityczny najwyżej stojących, autonomicznych wartości sztuki — tudzież przed podstępnem szarpaniem dobrej sławy artysty i człowieka.

Dlatego, opowiadając się stanowczo, przy całkowitej swobodzie dla wszelkich przejawów prawdziwej twórczości, zgłaszając kategoryczny sprzeciw przeciwko jakimkolwiek na nią zamachom ze strony najmniej do tego powołanego kołtuństwa, korzystamy ze sposobności, ażeby wymówić jaknajbardziej bezwzględną wojnę rozpanoszonemu u nas moralnemu chamstwu i mentalności średniowiecznego rzeźnika — w imię obrony dobrej sławy człowieka i podniesienia stopnia kultury społecznej.

Protest w powyższem brzmieniu, podpisany przez grupę poetów „Kwadrygi", ukazał się w „Robotniku". „Głosie Prawdy" i „Wiadomościach Literackich".

Nie uważając bynajmniej samej sprawy za wyczerpaną, przeciwnie. dopatrując się w tem błahem napozór wydarzeniu punktu wyjścia dla analizy najgłębszych i najpoważniejszych zagadnień kultury współczesnej Polski, zapowiadamy bliższe zajęcie się ową sprawą w najbliższych numerach „Kwadrygi".

ODPOWIEDZI REDAKCJI

J. Orl. Warszawa. Wiersze bez wartości.

Józ. Str. Białystok. Nadesłany poemat drukowany nie będzie. Prosimy o dalsze utwory.

J. Szczaw. Chełm lub. Przesłane wiersze, świadcząc o talencie, nie wychodzą poza ramy obowiązującego współcześnie konwenansu poetyckiego. Nie chcemy tracić z panem kontaktu, widzimy w panu swego kolegę. Odpowiedzi pisemnych nie udzielamy — pocztówką do Pańskiej dyspozycji.

F. Wolffgr Remb. Bardzo słabe.

Zygm. Sols. Łódź. Dziękujemy za zaufanie, jakiem nas Pan darzy. Jak pisać wiersze? Przedewszystkiem musi istnieć szczera potrzeba „tworzenia". Następną koniecznością jest opanowanie techniki pisania, do czego, przy pewnym zasobie zdolności, dochodzi się podświadomie, czytając dużo i wszechstronnie poezję współczesną; wreszcie — warunek sine qua non: pogłębianie swego poglądu na zjawiska rzeczywistości i szukanie dla nich wykazu w utworze artystycznym. Oczekujemy wierszy. Wysyłamy — Słobodnika i Maliszewskiego.

UWAGI BIBLJOGRAFICZNE

Nakładem Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie ukazał się tom utworów Stefana Żeromskiego — „niewydanych, rozproszonych i zapomnianych" pod ogólnym tytułem — Elegje. Zbiór ten przygotowany do druku, oraz opracowany przez Wacława Borowego, nawiązuje do przedzgonnego zamiaru wydawniczego autora, przyczem został rozszerzony także i na „inne pisma literackie i społeczne" Żeromskiego. Książkę, pięknie wydaną, kończą wyczerpujące przypisy W. Borowego, zawierające również dużo materjału ze spuścizny autora pism.

Odkładając szersze omówienie Elegij do Almanachu Kwadrygi, notujemy narazie fakt ukazania się zbioru, stanowiącego cenne uzupełnienie i doskonałą ilustrację całokształtu twórczości Żeromskiego.

*

Znowu mamy do zanotowania ukazanie się nowej książki najpracowitszego w Polsce pisarza, Juljusza Kadena Bandrowskiego — Nad brzegiem Wielkiej Rzeki — wydanej nakładem Zakł. Nar. im. Ossolińskich. Tom ten stanowi kontynuację cyklu „Miasto mojej matki" i „W cieniu zapomnianej olszyny".

Zapowiedziany artykuł o ostatnim okresie twórczości wielkiego pisarza zamieścimy w pierwszym tomie Almanachu.

*

W ubogiej bibljografji prac krytycznych o Wyspiańskim — dzieło prof. W. Trojanowskiego (Wyspiański — Artysta, Człowiek, Życie, F. Hoesick 1928) zajmie poczesne miejsce — już choćby ze względu na ciekawy materjał — w postaci nieznanych listów Wyspiańskiego — jakim autor rozporządzał. Nie jest to jednak wzgląd zasadniczy, skłaniający do przeczytania tej pięknej książki. Wręcz rewelacyjnie ujęty tutaj został stosunek tych dwóch dziedzin twórczości, pośród których Wyspiański — artysta się obracał. Studjum Trojanowskiego jest właściwie pracą o Wyspiańskim — malarzu i wyprowadza z jego zamysłów plastycznych — późniejsze koncepcje dramatyczne.

PISMA NADESŁANE

DŹWIGNIA Nr. 5, 1927, poświęcony pamięci tragicznie zmarłego Mieczysława Szczuki.

MUZYKA, Nr. 11, 1927.

GŁOS LITERACKI, Nr. Nr. 1, 2 i 3, 1928.

METEOR, nowy miesięcznik poetycki, Nr. 1 1928.

CENY OGŁOSZEŃ: za wiersz garmondu, szerokości 1 szpalty 40 gr. za tekstem, 50 gr. w tekście. Na kolumnę składają się 4 szpalty.

Redaktor i wydawca: **Wiesław Wernic,** kierownik literacki **M. Bibrowski.**

Adres Redakcji: Warszawa, Chłodna 6 m. 6. Tel. 286-69. Administracja: Al. Jerozolimskie 16 m. 2. Tel. 265-46.
Kierownik literacki przyjmuje codziennie w lokalu redakcji od 3 — 5 pp.

„Drukarnia Polska" w Białej Podlaskiej, ulica Prosta 2.